

Frank Peretti

NA DNIĘ

MORZA

Porwanie

Ciepły, pogodny ranek wstawał nad Bazą Lotniczą w japońskim mieście Yokota, niedaleko Tokio. Starlifter C-141, olbrzymi samolot transportowy Dowództwa Sił Powietrznych, stał gotowy do lotu na pasie startowym, a jego wielkie stalowe cielsko przypominało z daleka skrzydlatego wieloryba. Choć cały ładunek spoczywał już w ładowni, a kapitan wraz z załogą byli gotowi do startu, potężne silniki samolotu pozostawały chłodne i milczące.

Sierżant Al Reed stał w drzwiach luku, nerwowo spoglądając to do wnętrza ładowni, to w stronę hali lotniska, to zaś na swój zegarek. Z posępnym wyrazem twarzy bębnił palcami o ścianę samolotu.

W tym czasie wewnątrz powietrznego krążownika sierżant Max Baker chował pospiesznie niewielki pakunek pomiędzy skrzynie towarowe, tak by nikt tego nie zauważył. Gdy skończył wziąć, głęboki oddech, uspokoił się i dołączył do stojącego w drzwiach Ala.

Al był tak zdenerwowany, że jego zachowanie mogło łatwo zwrócić czyjąś uwagę.

Max zbliżył się do niego i rzucił ściszym głosem:

— Hej, Al, nie możesz tak wyglądać. Uspokój się, chłopie.

— Robi się późno, Max. Co ten Griffith tam tak długo robi?

— Zdaży, nic się nie martw.

— Ryzyko rośnie z każdą chwilą. Jeśli zaraz nie ruszymy, to zrobi się ciemno zanim...

Mocny uścisk, jaki poczuł na prawym ramieniu, kazał mu przebrać w pół zdania. W oczach Maxa pojawiła się niema, ale stanowcza reprimenda.

— Przestań mleć ozorem!

Al wbił rozbiegany wzrok w ziemię i westchnął głośno starając się ze wszystkich sił opanować skołatane nerwy.

— „Narzędzia” mam na pokładzie, przygotowane do akcji. A ty?
— spytał Max nie rozluźniając uścisku.

Al pokiwał głową.

— Ja też. Jak myślisz, czy ludzie z ochrony mogli coś wywęszyć?

— Nie, wszystko idzie gładko jak po maśle. Nikt niczego nie podejrzewa.

— Skąd więc to opóźnienie?

— Pewnie jakieś formalności, wiesz jak to jest.

— A jeśli ktoś coś zauważył?

Max spojrział Alowi prosto w oczy.

— Na pewno coś zauważą, jeśli zaraz się nie opanujesz.

W tej samej chwili na twarzy Ala zawiła wyraz ulgi.

— No, nareszcie!

Obaj spojrzeli w kierunku lotniskowego hangaru. Pułkownik William Griffith, wysoki, szczupły mężczyzna po czterdziestce, stał przed bramą hangaru w towarzystwie trójki cywilów: wysokiego, mocno zbudowanego dżentelmena w garniturze oraz pary nastolatków, czy raczej należałoby powiedzieć młodego mężczyzny oraz młodej damy. Młoda dama — piękna dziewczyna o jasnych jak len włosach — miała ze sobą bagaż, który Griffith w pewnym momencie podniósł z ziemi z wyraźnym zamiarem zaniesienia go do samolotu.

— No pięknie! — mruknął pod nosem Al.

— Nie, nie, to jakaś pomyłka. To na pewno pomyłka.

— Wzrok ci szwankuje, Max? Griffith zabiera na pokład cywilnego pasażera, to jasne.

— Ale to musi być jakieś nieporozumienie! Przecież mamy lecieć z misją wojskową!

Obaj mężczyźni z niepokojem przyglądali się, jak pułkownik Griffith wymienia pożegnalne uściski dłoni z nieznanym dżentelmenem oraz z młodzieńcem, po czym towarzyszy dziewczynie w drodze przez płytę lotniska.

— Co teraz? — wyszeptał Al.

— Nic takiego — odparł Max z zimnym spojrzeniem. — Nic się nie zmienia. Dalej, bierzemy się za robotę.

Obaj powrócili do swych prac przy załadunku i gdy Griffith wraz z nieznaną weszli na pokład, dwaj mężczyźni sprawiali całkiem normalne wrażenie pochłoniętych pracą mechaników.

— Panowie — zwrócił się do nich Griffith. — Przedstawiam wam pannę Lilę Cooper, która odbędzie z wami podróż powrotną do Stanów.

Griffith przedstawił dziewczynie obu lotników, a ona przywitała się z nimi uściskiem dłoni.

— Dopilnujcie — dodał pułkownik — by miała przyjemny lot.

W tym momencie dwa metry ponad ich głowami otworzyły się drzwi głównego pokładu, z których wychylił się przystojny, czarnoskóry oficer.

— Och, a więc to jest nasz pasażer.

Griffith przeprowadził krótką prezentację.

— Lila, oto porucznik Isaac Jamison, drugi pilot.

Porucznik Jamison szybko zszedł na ziemię po szczeblach metalowej drabinki i wyciągnął do niej rękę.

— Witamy na pokładzie, Lilo. Kończymy właśnie przygotowania do lotu, a gdy tylko wszystko będzie gotowe, oprowadzę cię po pokładzie i poznam z resztą załogi.

Trzynastoletnia Lila dojrzała w oczach porucznika życzliwość oraz ciepło, które pomogły jej przemóc niechęć do tego wielkiego, chłodnego samolotu. Z miejsca, w którym stała, starlifter wyglądał jak długi magazyn w kształcie tunelu pełen skrzyń, masywnych urządzeń oraz ogromnej liczby kartonów przymocowanych na czas lotu do pokładu. Pod sufitem widać było płataninę różnokolorowych kabli i przyćmione lampy. Sądząc po wąskiej, niewygodnej na pierwszy rzut oka ławce umieszczonej przy jednej ze ścian, samolot nie był przystosowany do przewożenia pasażerów.

— Max — odezwał się porucznik — może wniósłbyś bagaże panny Cooper do ładowni?

Max sprawiał wrażenie całkowicie nieobecnego myślami. Minęła krótka chwila, nim otrząsnął się z zadumy i szybko chwycił za bagaże Lili.

— Tak jest, panie poruczniku. Przepraszam, panie poruczniku.

— Chodźmy — zaproponował Jamison. — Poznam cię z załogą, zanim wystartujemy.

Pokazał Lili metalową drabinkę prowadzącą do kabiny pilotów. Wspięła się po niej kilkoma szybkimi ruchami, po czym weszła do środka przez niewielkie drzwiczki.

Nareszcie coś ciekawego, pomyślała dziewczynka. Znajdowała się na samym przodzie samolotu, w miejscu gdzie siedzieli pierwszy i drugi pilot. Było to niespodziewanie obszerne pomieszczenie, w którym, ku zaskoczeniu Lili, mogło wygodnie przebywać osiem, może nawet dziewięć osób.

Porucznik Jamison przedstawił ją reszcie załogi.

— Lila, oto dowódca samolotu, kapitan Aaron Weisfield... — Pierwszy pilot, zaskakująco młody, sympatyczny mężczyzna uściśnął jej dłoń. — Starszy mechanik Bob Mitchell... — Krótko ostrzyżony człowiek odwrócił się od pełnej zegarów, diod oraz przełączników tablicy rozdzielczej i potrząsnął wyciągniętą ręką dziewczyny. — A to nasz nawigator, Jack Yoshita. — Mocno zbudowany Azjata obdarował ją silnym uściskiem dłoni oraz serdecznym uśmiechem.

Porucznik Jamison zaczął wyjaśniać Lili budowę tablic rozdzielczych.

— To jest radio... a właściwie kilka osobnych odbiorników radiowych... to jest wysokościomierz, sztuczny horyzont, zawory...

Lila nie mogła się jednak skoncentrować na słowach porucznika. Patrzyła przez okno na dwie postacie stojące przy bramie hangaru w oczekiwaniu na odlot — byli to jej ojciec i brat. Widziała ich wyraźnie, miała jednak nadzieję, że oni jej nie widzą. Nie potrafiła spojrzeć im teraz w oczy, stanąć twarzą w twarz, nawet z takiej odległości.

— Na czas startu będziesz musiała zająć miejsce w ładowni — wyjaśniał porucznik. — Będzie tam trochę hałasu, ale gdy tylko osiągniemy właściwą wysokość, znajdziemy ci jakieś wygodne siedzenie tutaj, w kabinie.

Lila otrząsnęła się z zamyślenia i podążyła za Jamisonem przez tylne drzwi kabiny do ładowni. Porucznik wskazał jej miejsce na wąskiej ławce stojącej przy ścianie, a ona usiadła tam posłusznie i zapięła pasy. Tuż obok ujrzała niewielkie, okrągłe okienko, nie miała jednak teraz chęci przez nie wyglądać.

— Do zobaczenia po starcie — rzucił z uśmiechem Jamison, a następnie zniknął w drzwiach kabiny.

Dziewczyna pograżyła się w smutnych rozmyślaniach. Nigdy dotąd nie czuła się tak bardzo samotna.

Porucznik Jamison zasiadł w fotelu drugiego pilota, zapiał pasy, nałożył słuchawki, po czym zajął się należącymi do niego czynno-

ściami. Krótkie komendy zaczęły rozbrzmiewać w słuchawkach czterech lotników, którzy w ciągu paru minut tchnęli życie w ciężkie cielsko stalowego potwora.

Wielkie silniki starliftera wyły swą głośną, pożegnalną pieśń, gdy pułkownik Griffith schodził z płyty lotniska, by dołączyć do stojącego przed bramą doktora Coopera oraz jego czternastoletniego syna, Jaya.

— Będzie jej tam dobrze jak za piecem — odezwał się przyjacielskim tonem pułkownik.

— Bardzo ci dziękuję, Bill — odparł doktor, ani na moment nie odrywając oczu od wielkiego zielonego samolotu, który właśnie zaczął kołować w stronę pasa startowego.

William Griffith znał Jake'a Coopera wystarczająco długo, by móc z całą pewnością powiedzieć, kiedy pod obojętną maską niewzruszonego spokoju doktor skrywa prawdziwe, wzburzone uczucia. Teraz właśnie była jedna z takich chwil. Coś w spojrzeniu, jakaś ledwie słyszalna nuta w głosie, zdradzały staremu przyjacielowi prawdziwy stan uczuć doktora.

Griffith czuł się nieswojo, nie wiedział, co powiedzieć doktorowi, jak go pocieszyć.

— No cóż — zaczął ostrożnie — hmm... myślę, że dotrze cała i zdrowa do Bazy Powietrznej w McChord jeszcze przed północą... dnia wczorajszego! — Zaśmiał się z pozornej dziwaczności swoich słów. Wiedział oczywiście, że samolot zyska jeden dzień na różnicy czasu.

Doktor Cooper nie odwzajemnił uśmiechu. Nie mógł oderwać spojrzenia, a tym bardziej myśli od kołującego na pas startowy samolotu.

Griffith odezwał się ponownie.

— Hmm... twoja siostra mieszka tam gdzieś niedaleko, prawda?

Doktor odwrócił wreszcie wzrok od startującej maszyny i spojrział na przyjaciela tak, jakby po raz pierwszy tego dnia go zobaczył.

— O tak, Joyce mieszka w Seattle. To około godziny drogi samochodem. Bardzo dobry dojazd. — Wziął głęboki oddech, uśmiechnął się z trudem i wyciągnął rękę w geście wdzięczności. — Bill, do prawdy nie wiem, jak ci dziękować. Przepraszam, że to wszystko wypadło tak w ostatniej chwili...

— Och, w ogóle się nie martw. Lot i tak by się odbył, a jedna niewielka osoba na pokładzie nie robi żadnej różnicy przy takim ładunku.

Doktor Cooper mocno uściśnął dłoń Griffitha.

— W każdym razie bardzo ci dziękuję.

Porucznik spojrział mu prosto w oczy.

— Jake, jeśli jest jeszcze coś, co mógłbym dla ciebie zrobić...

Doktor uśmiechnął się z wdzięcznością.

— Pomódl się za nas.

Griffith pokiwał głową.

— Zrobię to. A tak w ogóle, to zadzwoń do mnie od czasu do czasu.

— Jasne.

Griffith odwrócił się i odszedł sprężystym krokiem. Doktor Cooper stał wraz z synem przy ogrodzeniu z kolczastego drutu i w milczeniu wpatrywał się w ruszający samolot.



Lila siedziała spokojnie na ławce w oczekiwaniu, aż coś się wydarzy.

Po chwili w ładowni zjawił się starszy mechanik Bob Mitchell.

— Cześć. Zapięłaś pasy?

— Mhm — odparła dziewczyna, jeszcze raz sprawdzając metalową klamrę.

— To twój ojciec i brat? — Mitchell wiedział, że to głupie pytanie, musiał jednak w jakiś sposób nawiązać rozmowę.

— Mmhm. — Tylko tyle udało mu się z niej wydusić.

— A... twoja mama jest w Stanach?

Lila popatrzyła przez okno i odpowiedziała wprost:

— Moja mama nie żyje.

Mitchell ujrzał w oczach dziewczynki ból i smutek, i zrozumiał, że pytanie było nie na miejscu. Żałował, że nie może sam sobie dać kopniaka.

— Przepraszam.

— Nic się nie stało.

— A co sprowadziło cię do Japonii — próbował zmienić temat.

— Rząd nas tu przysłał w ramach programu wymiany kulturalnej. Uniwersytet mojego taty wymienia na parę miesięcy kadrę profesorską z Uniwersytetem Tokijskim.

— To poważna sprawa. Czym zajmuje się twój ojciec?
 — Mmm... archeologią biblijną, starożytnymi cywilizacjami i tym podobnymi.

— O! To brzmi imponująco. Musisz być z niego bardzo dumna.

— Czy ja wiem...

Mitchell skrzywił się sam do siebie. „Znow złe pytanie!”

— To ja lepiej już pójdę na swoje stanowisko. Czołem.

Z tykiem silników starlifter zatrzymał się na skraju pasa startowego, po czym z jeszcze większym hukiem ruszył do przodu.



Doktor Cooper i Jay w napięciu obserwowali, jak starlifter nadspodziewanie lekko wzbija się w powietrze, jak pnie się coraz wyżej po błękitnym niebie i sunie na wschód ponad bezkresnym Pacyfikiem. Huk silników cichł z każdą sekundą. Po chwili samolot był już tylko małą kruszyną zostawiającą po sobie cienką smugę dymu, a wkrótce zniknęła zupełnie. Smutne przedstawienie dobiegło końca.

Ojciec i syn zostali sami. Żaden z nich nie wiedział, co powiedzieć.

— No i odleciała — odezwał się Jay. Było to oczywiste, lecz chłopiec tak mocno odczuwał to wydarzenie, że musiał ująć je w słowa.

— Wracajmy do hotelu — powiedział doktor, kierując się w stronę wyjścia.

Jay szedł u boku ojca i czuł wielką potrzebę porozmawiania o tym, co się wydarzyło.

— Będzie... będzie nam chyba trochę ciężko.

— Z czym, synu?

Jay rzucił ojcu zniecierpliwione spojrzenie.

— Będzie nam ciężko bez Lili. To znaczy, nigdy nie rozstawaliśmy się na tak długo. Zawsze było nas troje; zawsze trzymaliśmy się razem. Po prostu nie rozumiem...

Doktor nie był zbyt rozmowny.

— Lila przechodzi teraz trudny okres. Pewne rzeczy musi przeżyć sama. I tyle.

Jay nie chciał drażnić tego tematu, lecz uczucia, jakie w nim wzbierały, po prostu nie pozwalały mu milczeć.

— Jest mi naprawdę przykro, że ona odleciała. Teraz jest nas tyl-

ko dwóch; kiedy pomyślę, jak ciężko było się kiedyś przyzwyczaić, że jest nas tylko troje...

— Porozmawiamy o tym później, dobrze?

Jay zamilkł, bo wiedział, że tego właśnie chce ojciec. Był zły, że ojciec traktuje go w taki sposób. „Porozmawiamy o tym później”. Ileż to już razy słyszał to zdanie, a zawsze towarzyszyło mu owo ciężkie spojrzenie w oczach doktora, spojrzenie, którego Jay nie potrafił zrozumieć. Tak jakby żywe, spostrzegawcze, pełne miłości oczy, które tak kochali Jay i Lila, skryły się nagle pod maską z kamienia. Jay spojrzał na ojca. Tak, to samo, twarde spojrzenie, oczy patrzące w dal, powieki nieruchome.



Lila przyglądała się przez okno oddalającym się wybrzeżom Japonii. W dole był już tylko płaski, bezkresny stół błękitnego oceanu.

— Możesz już rozpiąć pas.

To porucznik Jamison spoglądał na nią z uśmiechem z drzwi kabiny.

— Uff! — odpięła klamrę i wyprostowała lekko zdrętwiałe ciało.

— Pora na drugie śniadanie. Masz chęć coś zjeść?

— Pewnie — rzuciła, po czym poprawiła się natychmiast — Tak, chętnie.

— Max wkrótce nam coś przyniesie.

Zaferował jej miejsce na wygodnej ławce przy tylnej ścianie kabiny, a następnie powrócił do swych obowiązków.

— Proszę pana... — zaczęła Lila. Spojrzał na nią z zaciekawieniem. — Jestem bardzo wdzięczna, za wszystko. Zachowałam się nieuprzejmie, wiem o tym... Przepraszam.

Uśmiechnął się serdecznie. Było w tym uśmiechu coś niezwykle naturalnego, spontanicznego.

— Co tam, każdemu się zdarza. Zapomnij o tym i czuj się jak u siebie w domu.

— Dziękuję. Och, jeszcze coś... panie Mitchell.

Starszy mechanik podniósł głowę znad tablicy rozdzielczej.

— Panu także chciałabym podziękować i przeprosić.

Uśmiechnął się.

— W porządku.

Lila poczuła się lepiej. Mogła teraz spokojnie rozejrzeć się po całej kabynie. Kapitan Weisfield włączył automatycznego pilota i od tej chwili kontrolował tylko wzrokiem wskazania różnych mierników, podczas gdy starlifter sam leciał wytyczonym kursem. Reszta załogi zajęła się swoimi sprawami — jakąś papierkową robotą, rozmową o różnych technicznych szczegółach, lekturą kryminałów. Panowała atmosfera spokoju i rozluźnienia.

Al i Max szybko opuścili cabinę zaabsorbowani swoimi obowiązkami. Musiała przyznać, że nie zmartwiła się zbyt ich nieobecnością. Coś w tych dwóch ludziach budziło w niej niepokój, może pewna nerwowość w ich ruchach, może chłód w niespokojnych oczach.

Po jakimś czasie Max powrócił do kabiny z kilkoma pudełkami jedzenia. Reszta załogi przywitała radosnymi okrzykami przybycie posiłku. Jedyną odpowiedzią Maxa był nieszczery uśmiech oraz chłodne spojrzenie, którym obrzucił Lilę.

Bob Mitchell rozpakował swój karton i zaczął wykladać jego zawartość na stół.

— Chodź, ja stawiam — zwrócił się z uśmiechem do Lili.

Lila bez namysłu przyjęła tę propozycję. Drugie śniadanie zapowiadało się całkiem niezłe: kanapka z indykiem, sałatka warzywna, mleko, ciasteczka.

Nim jednak zaczęli jeść, Bob schylił głowę i zmówił krótką modlitwę.

— Jest pan... jest pan chrześcijaninem? — odważyła się spytać dziewczynka.

— Jasne — uśmiechnął się Bill.

— Świetnie... — Po raz pierwszy tego dnia na twarzy Lili zawiązał uśmiech.

— Ja także — wtrącił porucznik Jamison.

— Zgadza się — odparł Bob. — Teraz pracujemy nad naszym dowódcą. Mamy zamiar zapewnić mu zbawienie, już wkrótce.

Kapitan Weisfield spojrzął na nich z krzywym uśmiechem.

— Alleluja — zaśmiał się Yoshita.

— Poczekaj, Jack. Ty będziesz następny.

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem.

Bob sprawiał wrażenie o wiele bardziej rozluźnionego.

— Może nareszcie będziemy mieli o czym porozmawiać.

— Amen — odrzekła Lila. — Naprawdę mi tego teraz potrzeba.

W tym momencie rozległ się ostry, metaliczny dźwięk. Spojrzenie Boba zatrzymało się na czymś za plecami Lili, a na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia.

— Co to? — spytała niepewnie.

— Nie odwracaj się — odpowiedział Bob cichym, opanowanym głosem. — Nie ruszaj się.

— Dobry pomysł — rozległ się inny głos tuż za nią.

Porucznik Jamison odwrócił się na fotelu i zeszytniał.

— Co to, Max?

Głos Maxa dobiegał zza pleców dziewczynki; był chłodny, okrutny, drwiący.

— To karabin maszynowy Uzi, w pełni załadowany, w pełni sprawny. Niech nikt nie rusza się z miejsca.

Wyszedł na środek kabiny i z karabinem przy biodrze obrócił się dokoła, dając każdemu z załogi możliwość spojrzenia w śmiertcionośną lufę.

— A teraz wszyscy ręce na kark i ani drgnąć!

Wszyscy wykonali polecenie. Spojrzenie porucznika Jamisona wyrwało Lilę z osłupienia. Natychmiast zrobiła to, co reszta załogi.

Max nie działał w pojedynkę. Oto bowiem w drzwiach stanął Al, także uzbrojony w karabin. Sprawiał wrażenie niezwykle zdenerwowanego, a przez to podwójnie niebezpiecznego.

— W porządku — odezwał się Max. — Czas na zmianę personelu. Jamison, podnoś się z tego fotela. — Nagle krzyknął na cały głos. — Ręce z daleka od radia!

Al trzymał karabin w pogotowiu na wypadek, gdyby ktoś próbował ich powstrzymać.

Porucznik Jamison powoli wstał z fotela.

— Dobra, ty i dziewczyna, wynocha stąd! Do ładowni!

Porucznik kiwnął do niej głową, a dziewczynka podniosła się z siedzenia z nie przełkniętym kawałkiem kanapki, tkwiącym jej w gardle niczym knebel. Pierwsza zeszła do ładowni.

— Powoli, spokojnie. Bez numerów — mówił Al. — W porządku, Jamison, teraz twoja kolej. Tylko powoli.

Kiedy tylko Lila oraz Jamison znaleźli się w ładowni, Max zasiadł na fotelu drugiego pilota.

— Dobra — zwrócił się do kapitana Weisfielda. — Porozmawiajmy teraz o zmianie kursu.

Al zszedł do ładowni i machnął dłonią w stronę ławki.

— Siądźcie sobie.

Z rękami na karku Liki i Jamison usiedli na ławce.

Nagle samolot ostro przechylił się w prawą stronę, przyprowadzając Lilę o gwałtowny skurcz żołądka.

— Zmieniamy kurs — wyjaśnił Jamison.

Al oparł się o ścianę dla zachowania równowagi.

— Wygląda na to, że kapitan Weisfield robi dokładnie to, co każe mu Max.

— Spokój tam, nie wiercić się.

Porucznik Jamison spytał spokojnym, opanowanym głosem:

— Al... co wy właściwie chcecie zrobić?

Al próbował się uśmiechnąć, starał się sprawić wrażenie pewnego siebie i opanowanego, wyraźnie było jednak widać, że jest straszliwie zdenerwowany.

— To się nazywa porwanie, panie poruczniku. Przejmujemy samolot pod naszą kontrolę.

Starlifter zakończył manewr i powrócił do normalnego, równego lotu.

— Dokąd lecimy?

— Och, do jednego miejsca na południe stąd, nie ważne. Niech pan się lepiej martwi o siebie i o tę dziewczynę. Jesteście oboje naszą polisą ubezpieczeniową, że tak się wyrażę. Ktoś tam w kabinie zrobi jeden fałszywy ruch i... — Pokiwał im przed oczami lufą karabinu. Potem wycofał się w stronę drzwi do kabiny i zawołał: — Jak tam?

— Wszystko w porządku — rozległ się głos Maxa. — Za moment będziemy zgłaszać nasze położenie.

Al wziął głęboki oddech i uspokoił się nieco.

— Huh! Jak na razie idzie nieźle, co?

Lila nie słyszała słów porywacza, była bowiem całkowicie pogrążona w modlitwie.

Katastrofa

W wieży kontroli ruchu w Tokio jak zwykle panował gwar. Dwudziestu pracowników uważnie obserwowało monitory radarów, przyjmując jednocześnie komunikaty radiowe od odbywających lot załóg. Komunikat od starliftera odebrany przez jednego z kontrolerów nie różnił się niczym od setek innych rutynowych meldunków, jakie codziennie przewijały się przez eter.

— Kontrola Tokio — rozległ się głos w słuchawkach kontrolera.
— Tu MAC 50231, pozycja Rocky, 10:25, poziom lotu 330, kurs 40 Północ, 160 Wschód. Następny, 11:50,43 Północ, 170 Wschód.

— MAC 50231 — odpowiedział kontroler. — Kontrola Tokio, przyjąłem.



Kapitan Weisfield ze spokojem przyglądał się, jak Max wyłącza radio. Meldunek, który Max przed momentem złożył w wieży kontroli lotów w Tokio, mówił, że starlifter, czyli „MAC 50231”, kieruje się zgodnie z pierwotnym kursem na wschód ku Stanom Zjednoczonym, lecąc na wysokości dziesięciu kilometrów. Max wiedział, że samolot znajduje się już poza zasięgiem tokijskich radarów; ludzie z kontroli lotów nigdy by się nie domyślili, że Max kłamie, i że starlifter kierował się teraz na południe ku wciąż nieznanemu przeznaczeniu.

— Niezły plan, co? — zagadnął Max, żując gumę. — Kiedy skończymy nadawać pozycje, wszyscy będą myśleli, że zniknęliśmy gdzieś na Aleutach!

— Więc dokąd lecimy? — spytał Weisfield.

— No cóż, kapitanie, za chwilę wprowadzę odpowiednie zmiany do systemu nawigacyjnego, dzięki czemu skierujemy się prosto

na południe, pomiędzy Wake i Guam. Karoliny są piękne o tej porze roku, nie sądzi pan?

— A co jeśli się okaże, że nie mamy wystarczającej ilości paliwa, by tam dolecieć?

— Och, proszę się o to nie martwić. Paliwa mamy dużo; już to sprawdziłem.

— Wygląda na to, że wszystko dokładnie zaplanowaliście — zauważył Weisfield.

— Oczywiście, kapitanie, oczywiście — zaśmiał się Max. Starlifter podążał na południe.

W ładowni samolotu Lila i porucznik Jamison siedzieli nieruchomo pod lufą karabinu Ala. Porywacz pozwolił im w końcu opuścić ręce, widząc, że nie mogą już dłużej trzymać ich w górze.

— Jak się czujesz — zapytał Lilę porucznik. Starał się zachowywać możliwie spokojnie i uprzejmie.

Lila w głębokim zamyśleniu wpatrywała się w podłogę. Minął moment, nim otrząsnęła się z zadumy.

— Ja... ja się boję.

Uśmiechnął się uspokajająco i odparł:

— Och, to najzupełniej normalne.

— Nie, nie o to mi chodzi.

Nachylił się do niej ostrożnie, by lepiej słyszeć.

Lila rozejrzała się wokoło jakby w poszukiwaniu właściwych słów, po czym rzekła cicho:

— Obawiam się... no... co by było, gdybym nigdy już nie ujrzała taty ani brata?

Dotknął lekko jej dłoni i odparł:

— Ależ na pewno ich jeszcze ujrzysz, i to nie raz. O to się nie martw.

Zawahała się przez chwilę, a potem wykrztusiła z siebie z trudem.

— Mój ojciec i ja... powiedzieliśmy sobie trochę nieprzyjemnych rzeczy przed moim wyjazdem. Jest mi teraz straszliwie przykro, że tak z nim rozmawiałam, i... że to i były ostatnie słowa, jakie ze sobą zamieniliśmy.

Jamison nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się przez chwilę.

W końcu odezwał się łagodnym głosem:

— To dobrze, że o tym myślisz. — Uśmiechnął się. — Patrz, jak to jest, że kłopoty każą nam przystanąć i pomyśleć?

— Co pan ma na myśli?

Zaśmiał się cicho.

— No wiesz, wszyscy jesteśmy ludźmi i robimy to, co robimy, nawet, jeśli to jest złe. Pewnie nigdy nie mielibyśmy okazji usłyszeć głosu Boga, gdyby... no właśnie, gdybyśmy nie wpadali od czasu do czasu w tarapaty. Tylko wtedy przystajemy, wyciszamy się, słuchamy.

Lila nie była przygotowana na tego typu przemowę.

— No tak...

— Weźmy na przykład Jonasza. Próbował uciec od Boga, więc Bóg sprowadził pewne problemy. W ten sposób zatrzymał Jonasza, aby móc z nim porozmawiać.

— Dzięki temu, że połknęła go wielka ryba, tak?

— Właśnie. W ten sposób chciał ściągnąć jego uwagę na Siebie.

— Ale to nie o mnie tu chodzi. To mój ojciec jest problemem!

— Cóż, to ty tak sądzisz, ale o ile się orientuję, większość kłótni wymaga udziału dwóch osób.

Lila nie miała ochoty na drażnienie tego tematu.

— Czy możemy porozmawiać o czymś innym?

Jamison przytaknął.

— Oczywiście.

Przerwał na moment. Al stał przy drabince prowadzącej do kabiny, a więc dość daleko od nich, w ładowni zaś panował hałas pracujących na zewnątrz silników oraz działającej w środku wentylacji. Jamison był zadowolony, że mogą rozmawiać, nie będąc słyszani.

— Nie odwracaj się teraz. Czy pamiętasz wielki kontener ustawiony na końcu ładowni?

— Wielki kawał stali w kształcie ogromnej butelki?

Pokiwał głową.

— Tak jest. — Zniżył głos, lecz nie przestawał się łagodnie uśmiechać, tak jakby rozmawiał o sprawach błahych lub nieistotnych.—To specjalna pokrywa służąca do przewożenia wrażliwych, delikatnych ładunków. Nie przepuszcza wody, powietrza oraz, jak słyszałem, jest odporna na kule. To taki wielki sejf, rozumiesz?

Wskazał palcem na okno, jakby pokazując jej coś na zewnątrz, lecz w rzeczywistości mówił o czymś zupełnie innym.

— Po drugiej stronie, od tyłu, jest właz wejściowy; powinien być otwarty. Teraz posłuchaj: w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, gdyby zaczęła się jakaś strzelanina, bijatyka, czy coś w tym rodzaju, natychmiast schowaj się do tego wielkiego kontenera i zamknij właz. Możesz tam bezpiecznie przeczekać całe zamieszanie.

Po godzinie Max wysłał kolejny fałszywy meldunek, informując centrum kontroli w Honolulu, że posuwają się zgodnie z kursem na wschód poprzez Aleuty.

W rzeczywistości starlifter kierował się ku równikowi.

— To powinno wystarczyć — zdecydował Max, po czym wyłączył wszystkie urządzenia radiowe. — Od tej pory cisza na morzu. My nie rozmawiamy z nimi, oni nie rozmawiają z nami.



Godzinę później w centrum kontroli w Honolulu nadaremnie czekano na kolejny meldunek. Gdy opóźnienie wyniosło już kilka ładnych minut, kontroler posłał w eter wezwanie.

— MAC 50231, Honolulu.

Bez odpowiedzi.

— MAC 50231, Honolulu.

Bez odpowiedzi.

Kontroler jeszcze kilkakrotnie ponowił wezwanie, a następnie skontaktował się z centrum kontroli w San Francisco.

— San Francisco, tu Honolulu. Nie możemy nawiązać połączenia z MAC 50231, ostatnie położenie 11:50, poziom lotu 330, 43 Północ, 170 Wschód. Czy jesteście w kontakcie?

— Honolulu, odpowiedź negatywna.

Kontroler natychmiast zwrócił się do swego przełożonego.

— Ed, mamy odpowiedź negatywną, chodzi o samolot MAC 50231.

Przełożony podeszedł do tablicy rozdzielczej.

— To ci z Sił Powietrznych? Jest tam w pobliżu jakiś inny samolot?

Kontroler sprawdził to w swoich notatkach. — Tak... lot pasażerski, United 497, z Seattle do Tokio.

— Sprawdź, może oni mogą się z nimi połączyć-Kontroler nawiązał kontakt z załogą linii United, która na jego prośbę kilkakrot-

nie wezwała samolot Sił Powietrznych mający znajdować się gdzieś w ich pobliżu.

— United 497, Honolulu — odezwał się po chwili kontroler. — Macie jakąś odpowiedź.

— Honolulu, United 497, negatywna — rozległ się głos w słuchawkach kontrolera.

— Połącz się lepiej z Yokotą — zdecydował przełożony. Kontrolerzy z Bazy Lotniczej w Yokota zaniepokoiili się na wieść o tym, że starlifter zamilkł. Mogło to oznaczać nie lada kłopoty.

Dowódca bazy zaczął wydawać swym podwładnym rozkazy.

— Frank, daj znać dowództwu Dwudziestej Drugiej Powietrznej, że będziemy chyba potrzebować oddziału ratowniczego. Corey!

— Tak jest!

— Daj mi wszystkie dane na temat samolotu MAC 50231. Chcę wiedzieć kto i co jest w tym samolocie! — Wrócił do telefonu. — Honolulu, próbujcie dalej się z nimi połączyć. Powiedzcie też San Francisco, żeby pozostali w kontakcie.



Porywacze nie byli zbyt rozmowni. Al tkwił na swoim postęunku, ani na moment nie spuszczał z oka dwójki zakładników. Co jakiś czas do uszu Lili dochodziły strzępy rozmów z kabiny. To Max wydawał załodze rozkazy, pilnując, by wszystko szło zgodnie z planem.

W pewnym momencie Lila zobaczyła coś za oknem.

— Poruczniku...

Jamison spojrział na zewnątrz.

Mijali właśnie małą wysepkę, drobny skrawek lądu pośród bezkresnego oceanu otoczony białą-błękitnym pierścieniem fal.

— Zbliżamy się do Marianów Północnych — zameldował Yoshita.

— Teraz uwaga — odezwał się Max i ruchem karabinu dodał wagi swym słowom. — Róbcie dokładnie to, co każe wam układ nawigacyjny, żadnych sztuczek. Nie chcę zwracać niczyjej uwagi.

Kapitan Weisfield kierował maszynę dokładnie po nowym kursie.

— Dokąd lecimy? — zapytał porucznik Jamison.

— Nie bądź taki ciekawy — powiedział chłodno Al.

— Przypuszczam, że macie gdzieś swój własny pas na tyle długi, by można posadzić na nim tego ptaszka.

Al zaśmiał się chytrze i odpowiedział:

— Powiedzmy, że wynajmujemy taki pas od czasu do czasu. To stary pas zbudowany przez Japończyków jeszcze w czasie wojny. Położony jest w raczej odludnym miejscu; na tyle odludnym, że wątpię, by ktokolwiek o nim wiedział.



Człowiek o nazwisku Corey wpadł do centrum kontroli w Yokocie z plikiem dokumentów lotu. Podał je pospiesznie dowódcy, który pobieżnie przejrzał stronę po stronie.

— No pięknie... — mruknął dowódca pod nosem, po czym odezwał się głośno — No pięknie! Po prostu cudownie! — Wręczył dokumenty porucznikowi. — Dane dotyczące ładunku są utajnione. Cokolwiek oni tam mają, nikt nie powinien się dowiedzieć, co to jest. Połączyłeś się już z Dwudziestą Drugą, Frank? Zdaje się, że mamy kłopoty.

W tym momencie porucznik znalazł w papierach jeszcze jeden istotny szczegół.

— O, jeszcze jeden problem. Na pokładzie jest cywil.

— Co takiego?

Porucznik wskazał dowódcy odpowiedni fragment dokumentu.

— Lila Cooper, lat trzynaście, przelot cywilny do McChord.

— W locie objętym tajemnicą wojskową? Jak to jest możliwe?

Porucznik czytał dalej.

— Hmm... rządowy program wymiany kulturalnej... Jej rodzina jest nadal tutaj, w Japonii... Widocznie musiała szybko wracać do kraju i... tak, to zostało oficjalnie zatwierdzone.

Dowódca zaczął krząć nerwowo po sali, targać włosy, skubać brodę, kręcić w zamyśleniu głową.

— Będzie ogromna kompromitacja — ciągnął porucznik — jeśli stracimy ten samolot.

Frank połączył się wreszcie z dowództwem Dwudziestej Drugiej Dywizji Powietrznej.

— Mam ich na linii, panie pułkowniku!

Dowódca chwycił za słuchawkę.

— Tu Myers. Straciliśmy kontakt z samolotem MAC 50231, w drodze z Yokoty do McChord. Podamy wam ich ostatnie położenie. Spróbujcie się z nimi połączyć, albo ich namierzyć. Ważne: łądunek jest ściśle utajniony. Zgadza się. Zaraz... jeszcze jedno: na pokładzie jest cywil, nastoletnia dziewczyna ze Stanów. Będzie wam trudno zachować to w tajemnicy, ale próbujcie, rozumiecie? Będziemy w kontakcie.

Odłożył słuchawkę i zamyślił się głęboko.

— A co z rodziną tej dziewczyny? — spytał porucznik.

— Co masz na myśli?

— Nie powinniśmy ich powiadomić?

Dowódca spojrzął na porucznika, jak gdyby jego pytanie było głupie, potem jednak zastanowił się nad nim chwilę.

— No cóż, bracie. Jeśli nie zachowamy ostrożności, to skończy się to wszystko naruszeniem tajemnicy wojskowej jak stąd do Honolulu. — Namyslał się jeszcze chwilę. — Nie, lepiej ich nie zawiadomiać... jeszcze nie teraz. Nie mówmy więcej, niż musimy powiedzieć... nikomu!



Max uważnie obserwował ruchy każdego z członków załogi.

Weisfield starał się nie drażnić porywacza.

Nagle pośrodku tablicy rozdzielczej zapaliło się zielone światełko.

— Co to? — nerwowo spytał Max.

— Eee... to... — zaczął Weisfield.

— Zostaliśmy namierzeni! — krzyknął Max. — Ktoś ma nas na radarze!

Bob Mitchell starał się go uspokoić.

— To tylko sygnalizacja połączenia radiowego...

— Nie próbuj mnie oszukać! — wrzasnął Max. — Znam ten samolot wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że odbieramy sygnały radarowe!

— To może być radar bazy w Guam — tłumaczył Weisfield — ale pewności nie mam.

— No to ukryj się gdzieś przed tym!

— Jak? Max, jesteśmy pośrodku płaskiego jak stół oceanu!

— Zrób, co mówię! Reszta mnie nie obchodzi!

Al usłyszał krzyki Maxa i wstał.

— Max! Co się dzieje!

Na moment porywacz odwrócił wzrok od zakładników. Porucznik Jamison nie zastanawiał się ani chwili; spróbował wykorzystać nadarżającą się okazję. Skoczył na równe nogi, rzucił się na Ala i zaczął się z nim szamotać, próbując wyrwać mu z rąk karabin.

W powstałym zamieszaniu Al nacisnął spust i karabin wypalił z hukiem, złościąc półkolisty rząd dziur w suficie. Ładownia wypełniła się gryzącym dymem. Rozległ się syk uciekającego na zewnątrz powietrza.

Z sercem pełnym panicznego strachu, ogłuszona hukiem Lila błyskawicznie upadła na podłogę i ukryła się za stosem wysokich skrzyń.

Zaalarmowany dochodzącymi z ładowni odgłosami Max wypadł z kabiny, ujrzał szamoczących się mężczyzn i krzyknął:

— Jamison, stój bo strzelam!

Jamison rozluźnił nieco uchwyt, co wystarczyło Alowi, by odepchnąć go na bok. Max chciał powstrzymać porucznika ostrzegawczym strzałem, w tym jednak momencie został zaatakowany od tyłu przez Boba Mitchella. Z głośnym krzykiem Max starał się odeprzeć niespodziewany atak, a jego palec zacisnął się kurczowo na spuście automatu. Niczym śmiertcionośny grad kule odbijały się z brzękiem od metalowej podłogi i leciały we wszystkich kierunkach, znacząc zadymione powietrze jasnymi smugami oraz oślepiającymi iskrami. Trafiony dwoma pociskami Jamison padł na podłogę. Z twarzą wykrzywioną bólem spozjrzał na Lilę i szybkim ruchem głowy wskazał na wielki stalowy pojemnik.

Max, który stracił nad sobą panowanie, słał serię za serią bez żadnego konkretnego celu. Kolejne kule przebiły powłokę starliftera. Rozległ się ryk syreny alarmowej, a światła w ładowni zajaśniały pełną mocą. Ciśnienie powietrza wewnątrz samolotu spadało! Al bez namysłu wypalił w stronę Mitchella, który padł trafiony na podłogę ładowni. Część kul przedostała się do kabiny, z trzaskiem rozbijając czułe instrumenty i urządzenia.

Nagle nastąpił wybuch! Dymiące odłamki metalu wybiły wielką dziurę w lewej ścianie samolotu! W mgnieniu oka Al zniknął w powstałym otworze jak cząstka kurzu wessana przez odkurzac. Samolot przechylił się najpierw na jedną, potem na drugą stronę, aż w końcu zaczął się bujać i trząść.

Pozostali w kabinie członkowie załogi założyli maski tlenowe, zaś Weisfield chwycił za ster, próbując wyrównać lot maszyny.

— Silnik numer dwa w ogniu! — Natychmiast zamknął dopływ paliwa do płonącego silnika. — Zawór numer dwa zamknięty. — Pociągnął za dźwignię ponad głową. — Dźwignia pożarowa numer dwa odciągnięta. Środek gaśniczy wprowadzony.

Jack Yoshita rzucił się do swego stanowiska próbując w popłochu ocenić powstałe uszkodzenia.

— Gwałtowny spadek ciśnienia! Ściana została przebita. Kule musiały trafić w silnik!

Kapitan Weisfield zauważył na swym ramieniu czerwoną plamę. Włączył radio. — Mayday! Mayday! MAC 50231... — Samolot zaczął trząść się i przechylać z boku na bok. Kapitan pchnął ster do przodu, na co samolot zaczął pikować dziobem w dół. Weisfield chciał jak najszybciej znaleźć się na bezpieczniejszej wysokości, gdzie łatwiej byłoby oddychać.

Lili brakowało już powietrza. Przed oczyma wirowały jej czarne płyty, zaczynała tracić przytomność. Z trudem chwyciła wiszącą na ścianie butlę z tlenem i przystawiła maskę do twarzy; po chwili odzyskała jasność umysłu.

Dopiero wtedy z trwogą zauważyła, że zsuwa się po pochyłej podłodze ku przodowi samolotu. Wolną ręką zdołała złapać się za jakąś skrzynię. Maszyna podskakiwała jakby w dziwnym tańcu. Przez ziejącą w ścianie dziurę Lila widziała wielki silnik, z którego wydostawały się teraz kłęby dymu oraz czerwone i żółte języki ognia. Cały bok silnika był rozdarty, niektóre jego części przewracały się po podłodze ładowni.

Max padł na podłogę na przedzie ładowni. Twarz oraz ręce miał trupiosine. Nie trzymał już w dłoniach karabinu. Nie poruszał się.

Porucznik Jamison krwawił z ran na piersi i biodrze. On także zdołał złapać butlę tlenową, z której teraz czerpał zbawienne powietrze. Nagłym spojrzaniem wskazywał Lili stalowy kontener.

Dziewczynka zaczęła wspinać się w stronę schronienia jak po stromym zboczach rozedrganego wzgórza. Była już blisko.

Weisfield słabł z każdą chwilą. Uważnie obserwując wysokościomierz, utrzymywał samolot w locie nurkującym, wiedział jednak, że maszyna dogorywa.

— System hydrauliczny numer dwa nie działa! — donosił Yoshita.

— Ogień! — krzyknął Weisfield. — Przedziera się przez linie kontroli! Będziemy wodować! Samolot wirował i trzął się w szaleńczym pędzie ku wodom oceanu. Byli już na wysokości poniżej trzech kilometrów. Weisfield z całych sił odciągnął ster i wielkie, stalowe cielsko z trudem zaczęło się wyprostowywać, trzęsąc się przy tym i drżąc niczym złamany latawiec.

— Trzymajcie się — krzyknął Weisfield — będziemy pływać.

Lila poczuła wokół siebie uścisk opiekuńczych ram porucznika Jamisona. Samolot wyrównał nieco lot, lecz nadal kołysał się, podskakiwał i wirował, niebezpiecznie przechylony dziobem w dół. Oboje modlili się żarliwie. Słyszeli ryk powietrza trącego o kadłub maszyny oraz trzask ognia, który trawił lewe skrzydło. Zdawało się, że rosnące gwałtownie ciśnienie rozsądzi im za moment uszy. Lila wyjrzała przez okno. Kolejne warstwy chmur migały jej przed oczami niczym piętra widziane ze spadającej windy. Powierzchnia oceanu zbliżała się z każdą sekundą.

— Do środka, dziewczyno, do środka! — Jamison popychał ją w stronę kontenera.

Lila przedostała się przez otwarty właz do mrocznego wnętrza. Obejrzała się za siebie, lecz Jamison raptownie zniknął jej z oczu.

— Poruczniku Jamison! — krzyknęła, wychylając się z włazu.

Ujrzała go znowu, z trudemtrzymał się na nogach, był bardzo osłabiony. Chwilę później zatrzasnął właz i Lila znalazła się w całkowitej ciemności. Słyszała, jak zmaga się na zewnątrz z ciężką zasuwą.

Porucznik Isaac Jamison, zakrwawiony, bliski śmierci, ostatkiem sił uruchomił mechanizm zamka, wcisnął zasuwę na miejsce, po czym wyjął klucz.

Siedząc w ciemności, Lila nadal czuła, jak samolot kręci się wokół własnej osi, wiruje, pędzi w dół...

Nagle nastąpiło potężne uderzenie! Stalowy kontener podskoczył gwałtownie i zadźwięczał niczym wielki dzwon pod gradem dziesiątek metalowych odłamków. Lila usłyszała najpierw huk i trzask rozrywanej powłoki samolotu, a potem szum napierającej zewsząd wody.

Chwilę później kontener zaczął koziółkować niczym kamień pchany wartkim prądem górskiego strumienia, a Lila poczuła się w jego wnętrzu jak pranie w bębnie wielkiej pralki.

Nastąpiło ostatnie uderzenie, ostatni łomot i wstrząs, po którym Lila straciła przytomność, odpływając w sen.

Gdzie jest Lila?

— Tak — powiedział doktor, a jego głos odbił się echem o ściany wielkiej sali wykładowej Uniwersytetu Tokijskiego. — Uważam, że maszyny obłęznicze odkryte w miejscu wykopaliska są pochodzenia babilońskiego.

Szpakowaty, dystyngowany profesor japoński, który służył mu za tłumacza, mówił teraz do studentów w ich ojczystym języku. Gdy skończył, doktor ciągnął dalej.

— Księga Nahuma, rozdział drugi, werset szósty, określa jedną z takich maszyn jako dach obłęzniczy i potwierdza jego użycie podczas oblężenia Niniwy.

Znów tłumaczenie.

— Mogę jedynie dodać, że my sami odbyliśmy płaskorzeźby przedstawiające konstrukcje uderzająco podobne do niedawnego znaleziska z Tell Kuyunjik.

Profesor tłumaczył dalej.

— Po raz kolejny chciałbym więc podkreślić, że w świetle tego rodzaju wykopalisk Biblia jawi nam się jako rzetelne i miarodajne źródło wiedzy historycznej.

Profesor skończył tłumaczyć odpowiedź doktora, a wtedy dwustu japońskich studentów oraz wykładowców zgromadzonych w sali wydało z siebie głośny pomruk aprobaty.

Doktor Cooper spojrział na zegar.

— Na tym skończymy dzisiejszy wykład. Jutro pokażę państwu obiecane wcześniej slajdy i jestem pewien, że do tego czasu będą państwo mieli kolejne pytania. Bardzo dziękuję za uwagę.

Gdy tłumacz przełożył na japoński ostatnie słowa doktora, zebrani wstali z miejsc i zaczęli powoli opuszczać salę.

Doktor Cooper oraz profesor Nishiyori, który tłumaczył, zeszedli z katedry.

— Fascynujący wykład, doktorze — powiedział Nishiyori. — Archeologia biblijna to dla nas całkowicie nowa dziedzina.

— Dziedzina warta uwagi, zapewniam pana.

— Był to dla mnie prawdziwy zaszczyt!

— Bardzo panu dziękuję. — Doktor spojrzął na zegarek. — Hmm... gdzie mogę znaleźć telefon?

— Może pan zadzwonić z mojego gabinetu. Proszę ze mną.

W gabinecie profesora Nishiyori doktor wykręcił numer do Stanów, do swojej siostry Joyce w Seattle.

— Och... Jake — rozległ się jej głos w słuchawce. — Zastanawiałam się, czy zadzwonisz.

Z tonu, jakim to powiedziała, doktor domyślił się, że coś jest nie w porządku.

— No właśnie, chciałem sprawdzić, czy Lila dotarła cało i zdrowo do domu. Muszę z nią poza tym o czymś ważnym porozmawiać.

— Niestety, jeszcze jej tu nie ma. Była jakaś pomyłka w rozkładzie lotów, czy coś takiego. Pojechałam do McChord, żeby ją odebrać, czekałam, czekałam, ale samolot nie przyleciał. Próbowałam się czegoś dowiedzieć od ludzi z obsługi lotniska, ale nikt nie potrafił mi niczego powiedzieć.

Przez chwilę doktor nie potrafił wydobyć z siebie słowa. To wszystko nie miało najmniejszego sensu.

— Ja... chyba nie do końca rozumiem, co się właściwie stało... Miałaś właściwy numer lotu?

Słyszał szelest papierów na biurku Joyce.

— Już ci mówię — odezwała się po chwili. — Lot MAC 50231, z Bazy Powietrznej w Yokocie. To ten?

— No... tak. Mam tu w notesie dokładnie ten sam numer.

— To znaczy, że ktoś coś pomylił, Jake.

Doktor Cooper westchnął i spuścił głowę.

— Tak to jest z tymi wojskowymi.

— Czy chcesz, żebym coś przekazała Lili... jak już się znajdzie, rzecz jasna?

— Och... nie, właściwie nie. Ona i ja... no wiesz, trochę się posprzecaliśmy, zanim wyjechała, więc chciałem to teraz jakoś załagodzić.

— No cóż, nikt w McChord nie potrafił mi pomóc. Oni nic nie wiedzą, a ja wiem jeszcze mniej. Naprawdę nie mam pojęcia, co się z nią stało.

— Umówmy się tak: ja spróbuję się czegoś dowiedzieć u siebie, a ty spróbuj jeszcze raz u siebie.

— W porządku.

— Masz mój numer hotelowy?

— Tak, mam. Zadzwoń, jak tylko zdobędę jakieś informacje.

— Ja też. Dzięki.

Natychmiast po powrocie do hotelu doktor zadzwonił do Bazy Powietrznej w Yokocie. Czterokrotnie odsyłano go pod inny numer, zanim dotarł w końcu do kogoś, kto wiedział coś o sprawie.

— Zgadza się — odezwał się męski głos w słuchawce.

— Pańska córka była na pokładzie. Samolot wylądował dziś zgodnie z planem w McChord.

— Mógłby pan to jeszcze raz sprawdzić? — zapytał doktor. — Dzwoniłem do Seattle i powiedziano mi, że samolot nie przyleciał.

— Nie... to musiała być pomyłka.

— Och, to jasne, że była jakaś pomyłka, chciałbym się tylko dowiedzieć, gdzie.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, lecz doktor szybko się zorientował, że tą drogą do niczego nie dojdzie.

— Przepraszam, a czy mógłby mnie pan połączyć z pułkownikiem Griffithem?

— Moment.

Moment minął i pułkownik Griffith znalazł się przy telefonie.

— Tak, Jake?

— Cześć, Bill. Słuchaj, mam pewien problem.

— Tak, wiem, zniknęła ci gdzieś córka. Zdaje się, że nastąpiła jakaś zmiana kursu, o której wcześniej nie wiedziałem.

— Ach, rozumiem.

— Lila wsiadła do niewłaściwego samolotu. Próbuję właśnie się dowiedzieć, dokąd poleciała. Nie powinno to długo potrwać.

— Kiedy będziesz coś wiedział?

— Zadzwoń do ciebie.

— W porządku.

— Do usłyszenia.

Griffith odłożył słuchawkę — dziwnie szybko — pomyślał doktor Cooper. W ogóle w ciągu całej tej rozmowy głos Griffitha brzmiał jakoś nieswojo. Nie przeprosił za powstałe zamieszanie, choć normalnie tego rodzaju zdarzenie bardzo by go zdenerwowało. Poza tym doktor miał nieodparte wrażenie, że jego przyjaciel nie chciał z nim rozmawiać i marzył o tym, by jak najszybciej odłożyć słuchawkę.

Doktor postanowił zostać w pokoju — przygotować się do następnego wykładu i czekać na telefon. Wiedział jednak, że nie będzie czekał zbyt długo.



Zimno. Chłód, mrok, krople wilgoci na zimnym metalu. Ziemia kołysała się i przechylała na wszystkie strony jak łódź targana sztormem.

Lila otworzyła oczy, lecz nie dotarł do niej najmniejszy nawet promyk światła. Zamknęła je znowu, tym razem z przeszywającym bólem. Głowa jej się trzęsła, żołądek miała skureczony. Żaden dźwięk nie mącił martwej ciszy, aż do chwili gdy się poruszyła, a wtedy słyszała jedynie szelest swego ubrania oraz szmer palców przesuwających się po metalowej powierzchni. Położyła sobie dłoń na głowie i wyczuła solidnego guza. Być może krwawił, lecz nie dało się tego sprawdzić z powodu ciemności oraz wszechobecnej wilgoci.

Podniosła głowę i jeszcze raz otworzyła oczy. Nie widziała niczego poza całkowitą ciemnością. Wtedy sobie przypomniała: stalowy kontener, olbrzymia butla, w której w ostatnim momencie się schroniła. Nadal była w jej wnętrzu, lecz... coś było nie tak. Zaczynała wątpić, czy na zewnątrz wciąż jeszcze znajduje się ładownia samolotu. Przypomniała sobie dźwięki, które wtedy słyszała: wybuch, odgłos rozrywanego samolotu, gwałtowny bulgot napierającej wody.

Jedna myśl szczególnie zaprzątnęła jej uwagę. „Żyję. Panie Boże, jak Ty to zrobiłeś? Ja żyję.” Usiadła bardzo powoli, wyciągając w górę dłoń, by się upewnić, że znów o coś nie uderzy. Czynność ta sprawiła, że zakręciło się jej w głowie i przez chwilę pomyślała, że zwymiotuje. „Spokojnie, powoli. Oddychaj, oddychaj.” Myśl o oddychaniu przypomniała jej o butli tlenowej. Nachyliła się nad podłogą

i zaczęła szukać po omacku. Po chwili odnalazła maskę i przycisnęła ją do twarzy. Och, teraz poczuła się dużo lepiej. Jej głośny oddech odbijał się echem od stalowych ścian, zupełnie tak, jakby znajdowała się w wielkiej puszczy. Trwała przez jakiś czas w całkowitym bezruchu, czekając aż zbawienny tlen przywróci jej jasność myśli oraz spokój żołądka.

Potem zaczęła powoli badać dłońmi najbliższe otoczenie, próbując przywołać w pamięci zatarty obraz wnętrza, który mignął jej przed oczami, zanim zamknął się właz. Natrafiła na zimne, stalowe żebro, którego zakrzywiony kształt przypomniał jej, że kontener miał formę cylindra, albo wielkiej pękatej butelki. Czuła, że nie stoi on prosto, lecz jest lekko przechylony. Powoli ruszyła ku niżej położonemu końcowi, odnajdując po drodze porozrzucane bezładnie skrzynki i kartony, aż wreszcie dotarła do włazu.

— Halo! — krzyknęła ile sił w piersi, lecz z zewnątrz nie padła żadna odpowiedź. Zawołała jeszcze parę razy, ale jedyną odpowiedzią było głośne echo jej własnego wołania odbijające w metalowym dzwonie.

Przypadkowo odnalazła w pobliżu płócienną torbę, którą, po chwili zmagania z suwakiem, udało jej się otworzyć. We wnętrzu torby poczuła chłód stalowych narzędzi. Był tam młotek... klucz... parę śrubokrętów... obcęgi... O! I latarka!

Włączyła światło. Początkowo raziło ją w oczy, lecz była szczęśliwa, że może wreszcie ujrzeć, jak wygląda ów tajemniczy świat wnętrza wielkiej butli.

Tak, nie ulegało wątpliwości, że kontener musiał nieźle koziołkować. Torby, pudła oraz dziesiątki różnych drobnych przedmiotów leżały porozrzucane po całym wnętrzu i jedynie wielka skrzynia przypięta do podłogi mocnymi pasami pozostała na miejscu. Zimne ściany były wilgotne.

Podłoga miała siedem, może osiem metrów długości oraz około dwóch metrów szerokości. Była całkowicie płaska, natomiast ściany oraz sufit stanowiły jedną, zakrzywioną powierzchnię.

Dopiero po chwili zauważyła, że na dłoni ma krew. Dotknęła guza na głowie i znów spojrzała na dłoń. Krwi było więcej.

Gdzieś musiał być jakiś bandaż, gaza, coś, czym dałoby się opatrzyć ranę. Zaczęła czołgać się pod górę w poszukiwaniu apteczki.

Właśnie minęła środek odległości między dwiema ścianami, kiedy poczuła coś niepokojącego. Kontener zakołysał się. Mogła nim poruszać, balansując ciałem.

A więc unosiła się na powierzchni oceanu... albo pod powierzchnią... a może była zanurzona do połowy w wodzie, a może...

Tak naprawdę, nie miała pojęcia, gdzie się znajduje.



Doktor Cooper oraz Jay przesпали całą noc, a żaden telefon nie przerwał im snu. Zbliżało się południe, lecz nadal nie dotarła do nich żadna informacja. Doktor Cooper połączył się z recepcją, by spytać, czy nie ma dla niego jakiejś wiadomości. Nie było żadnej. Zadzwoił więc do Bazy Powietrznej w Yokocie, ale nikt nie potrafił mu tam niczego powiedzieć, zaś pułkownik Griffith okazał się nieuchwytny.

Zeszli na śniadanie do hotelowej restauracji i właśnie tam kelner przyniósł im tę informację: „Park Hoshi, w południe. Griffith”.

Pobliski park Hoshi był ogromnym japońskim ogrodem, miejscem o niezwykłej wprost urodzie i atmosferze, gdzie kręte ścieżki wiły się pośród precyzyjnie przyciętych trawników oraz majestatycznych drzew. Każdy krzew, każdy staw, każda altana, wszystko znajdowało się tam dokładnie w miejscu, gdzie powinno się znajdować, a całość tworzyła zakątek pełen łagodnego spokoju i niezachwianej harmonii. Nic więc dziwnego, że ludzie uwielbiali się tam bawić, spacerować i odpoczywać.

Doktor Cooper i Jay doceniali otaczające ich zewsząd piękno, lecz nie ono zaprzętało teraz ich myśli. Obaj martwili się zniknięciem Lili, a ich oczy wypatrywały tylko pułkownika Williama Griffitha.

Lecz to właśnie on ich znalazł. Niczym bohater szpiegowskiego filmu wyszedł niespodziewanie na dróżkę spoza drzew, ubrany w strój cywilny.

— Cześć — rzucił krótko. — Chodźcie za mną.

Podążyli za nim wąską boczną ścieżką do wyżłobionej

w skale małej niszy z wodospadem, gdzie stało kilka pustych ławek. Usiadł na jednej z nich, a doktor wraz z synem natychmiast się do niego przysiedli.

— Przepraszam za to dziwne zachowanie — odezwał się zniżonym głosem. — To dlatego, że nie wolno mi z wami rozmawiać.

— Mam nadzieję, że jednak porozmawiamy.

— Cóż, to może być ostatnia szansa. Za niespełną godzinę muszę być z powrotem w bazie. Aż trudno opowiedzieć, co tam się teraz dzieje. Sytuacja jest naprawdę poważna. — Spojrzał na nich obu, ostrożnie dobierając słowa. — Do rzeczy... przede wszystkim, wbrew temu, co wam wczoraj powiedziałem, nie jest prawdą, że Lila pomyliła samoloty. Obok telefonu stali ludzie, którzy mogli usłyszeć, co mówię, a rozkazy były wyraźne: nie możecie się dowiedzieć absolutnie niczego o losie samolotu.

— O losie samolotu? — spytał zaniepokojony Jay.

— Możesz mówić wprost — powiedział doktor spokojnym, choć pełnym troski głosem.

— Samolot zaginął — wyrzucił z siebie Griffith, po czym szybko dodał — co nie znaczy, że się rozbił. Rutynowe akcje poszukiwawcze są już prowadzone, ale nadal nie mamy pewności, co się stało.

Doktor Cooper położył dłoń na ramieniu przyjaciela, a potem rzekł wolno i wyraźnie:

— Bill, powiedz, jeśli coś wiesz. Milcz, jeśli musisz, ale nas nie okłamuj.

William Griffith ujrzał wielką powagę w oczach doktora.

— Jake, tylko ze względu na naszą przyjaźń oraz miłość, jaką darzę ciebie i twoją rodzinę, zdecydowałem się złamać tajemnicę wojskową. Nie wszystko mogę wam powiedzieć, lecz to, co wam powiem, musicie zachować w całkowitej tajemnicy, jasne?

Doktor Cooper i Jay pokiwali głowami. Słuchali w skupieniu i z wielkim przejęciem.

— Starlifter C-141 rzeczywiście leciał do Stanów i przez parę godzin poruszał się zgodnie z kursem, potem jednak przestał nagle meldować o swoim położeniu. Ani Honolulu, ani San Francisco, ani samolot pasażerski nie mogli się z nim połączyć. Ostatnie meldowane położenie samolotu to północny Pacyfik, mniej więcej w połowie drogi między Japonią a Aleutami. Helikoptery grupy ratowniczej regularnie przeczesują tę okolicę, ale jak na razie nic nie znalazły.

— Północny Pacyfik... — cicho powtórzył doktor Cooper, a twarz miał białą jak kreda.

Griffith westchnął głośno i ciągnął dalej głosem jeszcze niższym niż poprzednio.

— Jest jeszcze coś. Udało mi się dotrzeć do raportów naszego wywiadu, z których jasno wynika, że wywiad sprawdza ostatni meldunek odebrany przez bazę w Tokio. Zdaje się, że powątpiewają w jego wiarygodność.

— Czyli... meldunki o położeniu mogły być fałszywe — wywnioskował Jay.

— Z pewnością jest to możliwe, tym bardziej że dowiedziałem się jeszcze czegoś. Po pierwsze, radary w Bazie Powietrznej imienia Andersona na wyspie Guam wychwyciły jakiś niezidentyfikowany obiekt około trzeciej rano czasu Greenwich, czyli koło południa na Guam. A jeśli policzyć, ile czasu zajęłoby naszemu samolotowi zmiana kursu z północnego na południowy oraz dotarcie w zasięg radaru na Guam, to okazałoby się, że byłby on tam właśnie mniej więcej o trzeciej. Po drugie, niedługo potem ktoś nadał z tamtej okolicy sygnał Mayday. Do tego należy jeszcze dodać krótki, zdławiony sygnał identyfikacyjny odebrany przez Guam, który mógł być kodem identyfikacyjnym 50231.

— A więc... samolot poleciał na południe, zamiast na wschód? — spytał doktor.

Griffith przytaknął.

— Ale... skąd masz tę pewność?

— Nie mam pewności. Ale ktoś musi ją mieć, skoro decyduje się wysłać ściśle tajne jednostki poszukiwawcze właśnie na Karolinę. Poza tym słyszałem, że użyto samolotów zwiadowczych SR-71. Jak się wysyła tyle ludzi i sprzętu w takie miejsce, to trzeba wiedzieć, co się robi.

— Ale dlaczego nic nam nie powiedzieli? — spytał ze złością doktor.

— Jake, przecież nie mogą ci wszystkiego powiedzieć, nawet, jeśli twoja córka jest na pokładzie. Samolot przewoził tajny ładunek o bardzo delikatnym charakterze; jest więc duże prawdopodobieństwo, że został porwany. To oznacza komplikacje na skalę międzynarodową, a to z kolei oznacza, że odpowiednie służby zajmą się całą sprawą same, po swojemu, bez twojego udziału.

— Spodziewasz się, że będziemy tu siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż oni zrobią to, co będą chcieli, w czasie, jaki uznają za

stosowny, podczas gdy życie Lili może się znajdować w niebezpieczeństwie?

Griffith uśmiechnął się nieznacznie.

— Nie. Wcale nie. Zbyt dobrze cię znam. Wiem, że i tak wmieszasz się w całą tę sprawę, bez względu na to, co ktoś ci każe. Dlatego chcę ci pomóc... W jaki sposób? Wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, to dać ci kontakt, potem... musisz radzić sobie sam. Na tych wyspach panuje pewien ferment polityczny: komuniści, rzecz jasna, prawdopodobnie filipińska partyzantka. To tylko moje przypuszczenia, nie poparte żadnymi dowodami, ale ci właśnie ludzie mogli maczać palce w zniknięciu samolotu. Prawdopodobnie zależy im na przechwyceniu znajdującego się na pokładzie ładunku.

— Gdzie mam zacząć szukać?

— Wysłałem już telegram do pewnej osoby w Pulosape.

— Gdzie? — zapytał Jay.

Griffith uniósł brew i wzruszył ramionami.

— To taka wyspa w archipelagu Karolin. Potrzeba bardzo dokładnej mapy, żeby ją znaleźć.

— Mów dalej — powiedział doktor.

— Ona jest pisarką i dziennikarką. Ma pewne informacje na temat działalności komunistów w tamtym rejonie, a teraz stara się dowiedzieć czegoś więcej. Jest niesamowicie dociekliwa, więc jeśli tylko coś się szykuje, albo coś już się stało, można być niemal pewnym, że ona będzie o tym wiedzieć. Wkrótce powinienem dostać jej odpowiedź.

— Kto to jest? Można na niej polegać?

— Raczej tak. Zawsze osiąga to, na czym jej zależy, ale nigdy nie zawodzi przyjaciół.

— Jak możemy się z nią skontaktować?

— Nie możesz się doczekać, co? — Griffith sięgnął do kieszeni koszuli, wyjął stamtąd skrawek papieru i podał go doktorowi. — Nie uda ci się skontaktować z nią telefonicznie, ale tu masz jej imię i nazwisko oraz adres sklepu w Pulosape, w którym możesz zostawić dla niej wiadomość przez radio.

Doktor Cooper przeczytał widniejące na kartce nazwisko.

— Margaret Flaherty.

— Znasz ją?

Doktor Cooper wyteżył pamięć.

— Chyba kiedyś widziałem to nazwisko w druku, ale... nie przypominam sobie, żebym kiedyś ją poznał.

— Och, możesz mi wierzyć, że gdybyś kiedyś ją poznał, doskonale byś ją zapamiętał.

Klejnot Pacyfiku

Pośród bezkresnych przestrzeni południowego Pacyfiku Pulo-sape było tylko niewielką muldą z czarnej, wulkanicznej skały porośniętą gąszczem bujnej roślinności. Ta długa na pięćdziesiąt kilometrów wysepka służyła za przystań rybackim kutrom, kupieckim szkunerom oraz zabłąkanym jachtom.

Po zawietrznej stronie wyspy, tam gdzie koncentrowała się wszelka aktywność ludzka na tym opuszczonym skrawku lądu, stał sklep Złego Dave'a — pożałowania godny klocek o betonowych ścianach popękanych od zbyt wielu trzęsień ziemi oraz dachu przyciśniętym starymi oponami, pamiętce ostatniego huraganu. Przed wejściem, na nierównej, pociętej śladami kół drodze, czekał samochód Dave'a, stary land rover z licznymi śladami uderzeń kokosów na masce. Zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej szumiały fale Pacyfiku.

Wewnątrz sklepu śniadzi tubylcy, ubrani jedynie w spódniczki z trawy, tłoczyli się i przepychali przy półkach pełnych ubrań, narzędzi, zbiorników z paliwem, warzyw oraz mięsa. Rybacy, żeglarze i podróżnicy szukali tu różnego rodzaju części zamiennych, lin i narzędzi.

Zły Dave nie mógł narzekać na brak zajęcia. Stał za ladą i targował się, kłócił, sprzedawał, krzyczał oraz wymieniał najnowsze wiadomości, nawet jeśli były to długie, nie kończące się opowieści.

Był potężnym jak czołg mężczyzną o śniadej skórze, który nigdy nie wyjmował z ust gumy do żucia, a w brudnej kieszeni miał zawsze zwój pomiętych banknotów. Mieszkał na tej wyspie od dwudziestu sześciu lat, będąc praktycznie jej jedynym nadzorcą. Znał niemalże wszystkich, którzy odwiedzali wyspę, i dobrze wiedział, kogo lubi, a kogo nie, oraz kto i ile jest mu winien.

Tego dnia interes szedł dobrze i nic nie mąciło spokoju duszy Dave'a, aż do chwili, gdy Bojo, zatrudniony w jego sklepie tubylec, wyszedł szybkim krokiem z zaplecza, zbliżył się do swego szefa i szepnął mu coś na ucho.

— Jesteś pewien? — spytał cicho Dave.

Bojo pokiwał głową.

— Zły! Duży, czarny! Głodny!

— Kto jeszcze tam jest?

— Tylko oni — odparł Bojo — Ruda i Kelly.

Dave zmrużył oczy.

— Bojo, nikt więcej poza nami nie może się o tym dowiedzieć, w porządku?

Bojo przytaknął, po czym ruszył za Dave'em na zaplecze. Dave chwycił za klamkę i ostrożnie otworzył drzwi.

Wysokie półki uginające się pod ciężarem puszek, kartonów oraz części zamiennych stały wzdłuż ścian zaplecza, a na środku, przy małym stoliku, na którym leżała wysłużona szachownica, siedzieli naprzeciwko siebie dwoje ludzi.

Jednym z nich był Kelly, mały uparty marynarz, który przez większość swego życia zajmował się głównie zbijaniem bąków, a którego największą pasją było zakładanie się — o cokolwiek, o wszystko.

Drugim graczem był kwiatuszek, najpiękniejszy klejnot Pacyfiku, anioł zesłany przez niebiosy. Tak właśnie Zły Dave lubił określać siedzącą przy stoliku kobietę, której cała uwaga skupiała się teraz na szachownicy i trwającym już pewnie od paru godzin pojedynku.

Nazywała się Margaret Flaherty, była pisarką. Miała na sobie lekkie marynarskie spodnie oraz flanelową koszulę, a rude włosy spływały jej na ramiona niczym woda na przybrzeżne skały o zachodzie słońca.

Teraz jednak, zastygła w bezruchu, przypominała bardziej marmurową statuetkę niż kobietę z krwi i kości.

Dave spojrział na Kelly'ego. Mały marynarz także trwał w bezruchu, tylko jedno oko poruszało mu się lekko.

Dave nachylił się i zapytał swojego pomocnika szeptem:

— Jak długo tak tu siedzą?

— Około godziny. Z początku grali w szachy na pieniądze, a potem Ruda podwyższyła stawkę. Powiedziała, „Kelly, jak długo może

pan tak siedzieć bez ruchu?” A on na to: „Bez końca, proszę pani.” A ona: „Może się założymy?”, na co on: „Zakład stoi.” No i proszę...

— Więc przez cały ten czas siedzieli tak jak teraz?

Bojo przytaknął.

Dave pokręcił głową.

— Słońce niedługo zajdzie. Nie ociepli się aż do rana.

— Nie uda im się.

— Kelly'emu na pewno nie. A co do pani Flaherty... cóż, zawsze mnie zaskakuje.

— Co... możemy zrobić?

— Czekać, to wszystko. Zamkniemy dziś wcześniej i nie będziemy nikogo wpuszczać. Nikogo, zrozumiałeś? Zajmij się sklepem. Ja zostanę teraz przy nich. Około dziesiątej w nocy przyjdiesz mnie zmienić.

Bojo zamknął sklep i znalazł sobie miejsce do spania na sterocie słomianych mat. Dave został na zapleczu, pozornie sędziując w wielkim zakładzie, jednak w rzeczywistości jego uwagę zajmowała przede wszystkim nogawka spodni rudowłosej kobiety. Przez cały ten czas nie oddalał dłoni od rękojeści ostrej jak brzytwa maczety.

Mijała godzina za godziną. Nadeszła północ. W pewnym momencie oczy Kelly'ego zaszyły mgłą, zdołał jednak opanować senność. Żadne z nich się nie poruszało. Bojo obserwował ich uważnie, myśląc jednocześnie o bólu, jaki ci dwoje musieli odczuwać.

Około drugiej w nocy Dave wszedł cicho na zaplecze, niosąc nafetowy grzejnik. Na ten widok Bojo pokiwał głową, jak gdyby chciał powiedzieć: „Dobry pomysł.”

Dave ostrożnie postawił grzejnik przy stoliku, po czym zwrócił się do dwóch ludzkich posągów:

— Pomyślałem, że może przyda się wam trochę ciepła. Robi się zimno.

Zapalił grzejnik i odsunął się po cichu.

W pomieszczeniu zaczęło robić się coraz cieplej, a po godzinie było wręcz gorąco. Pot spływał po twarzach obu graczy. Oczy Kelly'ego stawały się coraz bardziej mętne.

Dave i Bojo nie odrywali oczu od nogawki marynarskich spodni kobiety. Grzejnik stał tak blisko jej nogi, że gorąc musiał być nie do wytrzymania.

Nagle oczy Bojo stały się wielkie. Z ledwie słyszalnym jękiem zatkał sobie usta dłonią.

Dave chwycił go za ramię i szepnął:

— Cicho, Bojo, ani drgnij!

Obaj widzieli, że nogawka się porusza, fałdy tworzyły się na niej i znikwały, jakby żyła własnym życiem.

Dave bardzo ostrożnie podniósł dłoń do maczety. Gracze nie zauważyli tego ruchu. Nadal siedzieli wpatrzeni w siebie w całkowitym skupieniu.

Nogawka nie przestawała się poruszać. Niewielki garb pod materiałem zaczął przesuwac się w dół, ku otworowi nogawki.

Błyszczący, czarny łeb wyjrzał na zewnątrz, kołysząc się w powietrzu, a cienki, czerwony język niespokojnie badał otoczenie.

Bojo mocno splótł dłonie, by opanować ich drżenie. Dave złapał za maczetę.

Łeb czarnego stworzenia powoli opadł na drewnianą podłogę, a jego długie, czarne, oślizłe ciało zaczęło centymetr po centymetrze wylewać się z nogawki. Wąż wypelzł spod stołu nie przestając wysuwać języka.

Wreszcie zbliżył się do Dave'a, ten jednak nie ruszał się, aż do właściwej chwili CIACH! Maczeta błyskawicznie spadła na podłogę, oddzielając głowę węża od reszty ciała, które przez moment wiło się i skręcało, by w końcu spocząć bez ruchu na środku podłogi. Głowa z białą, szeroko rozdziawioną paszczą, z której wystawały dwa błyszczące kły, wylądowała metr dalej.

Bojo nie zdołał opanować krzyku.

Kelly przegrał zakład. Rzucił krótkie spojrzenie w bok, dojrzał węża i na ten widok zerwał się na równe nogi z głośnym sapnięciem oraz potokiem przekleństw.

Kobieta westchnęła z ulgą, po czym opuściła głowę.

— Bogu niech będą dzięki — powiedziała cicho. Potem podniosła drżącą ręką swoją królowkę i zrzuciła ją z szachownicy należącego do Kelly'ego króla. — Szach i mat.

Kelly stał bez ruchu, osłupiały z przerażenia i niedowierzania.

— Co... jak pani mogła...?

— Miałam całą noc, żeby to obmyślić — odparła, wycierając pot z czoła, a następnie zwróciła się do Dave'a — Mógłby pan wskazać damie drogę do toalety?

— Cały czas prosto, przez tamte drzwi — odparł Dave.

W pośpiechu opuściła zaplecze, podczas gdy Kelly wlepił zdziwiony wzrok najpierw w martwego węża, potem w szachownicę, a na końcu w dwóch siedzących mężczyzn.

— Przepraszam cię za to zamieszanie — odezwał się Dave. — Zdaje się, że to diabelstwo przyplęnęło na wyspę razem z którymś transportem bananów. Schylił się, podniósł zwłoki węża i aż gwizdnął zaskoczony rozmiarami gada. — Nocą lubią wpełzać w ciepłe, ciemne miejsca, by skryć się przed zimnem. — Dokładnie pod stolikiem dostrzegł niewielką dziurę w podłodze. — To tędy się tu dostał. Bojo, trzeba będzie zatkać tę dziurę.

Bojo pokiwał głową.

Kelly patrzył na nich pytającym wzrokiem, za bardzo był jednak przestraszony, by wydobyć z siebie choćby słowo.

— Dobrze, że przyjąłeś ten zakład — rzekł Dave. — Wąż owinął się pani Flaherty wokół nogi. Podobno jad tych węży zabija w ciągu paru sekund.

Pani Flaherty wróciła na zaplecze, spokojniejsza i bardziej odprężona.

— Dziękuję ci, Dave.

Dave wyłączył właśnie naftowy grzejnik.

— Bardzo proszę, pani Flaherty. Pewnie zwierz uznał, że jest mu za gorąco w nogawce.

Kelly długo gapił się na kobietę. Odpowiedziała mu uśmiechem ulgi.

— Pani... — wykrztusił wreszcie Kelly — pani jest niezwykłą kobietą, pani Flaherty.

— A pan jest wymagającym przeciwnikiem, panie Kelly — odparła. — Proszę mi jednak powiedzieć, czy dotrzyma pan warunków zakładu?

— Hm?

— Wygrałam zarówno partię szachów, jak i zakład. Czy powie mi pan to, co chciałabym wiedzieć?

Kelly nadal nie mógł zebrać myśli.

Dave postanowił trochę mu pomóc.

— No, Kelly, pamiętasz przecież. Wszyscy dobrze wiedzą, że zadawałeś się z tymi komuchami.

Twarz Kelly'ego rozpromieniła się nagle, jak gdyby jego pamięć zaczynała działać.

— Ach, o to chodzi. — spojrzał na panią Flaherty. — O co mnie pani pytała?

Pani Flaherty pokazała Kelly'emu krzesło, po czym sama usiadła naprzeciw niego.

— Kiedy po raz pierwszy przyplłynęłam na Pulosape, pełno tu było filipińskich partyzantów. Można było wręcz pomyśleć, że zwolali jakiś zjazd.

Dave usadowił się na pustej drewnianej beczce.

— Spędzali mnóstwo czasu w sklepie. Szastali forszą na prawo i lewo i strasznie zadzierali nosa. Ktoś płacił im widać gotówką oraz bronią. Mieli tu gdzieś pewnie jakąś sporą robotę.

Kelly zaśmiał się nieszczerze.

— Ech, a co ja mogę o tym wiedzieć?

Pani Flaherty nie zamierzała się tak łatwo poddać.

— Zdążyli się już stąd wynieść i to bardzo szybko. Wiem, że to ty przewoziłeś ich swoją łodzią. Dokąd ich zawiozłeś i dlaczego?

Dave nachylił się nad marynarzem.

— Zakład to zakład, a ty przegrałeś, Kelly, nie zapominaj o tym.

Kelly zastanawiał się przez chwilę, po czym ze smutkiem pokłwał głową.

— Ale oni nie mogą się dowiedzieć, że to ja wam to powiedziałem.

— Zgoda — odrzekła kobieta.

— Jest ich około stu — zaczął Kelly. — Wszyscy z Filipin, a więc z bardzo daleka. Są świetnie opłacani, a w zamian mają wykonać pewne zadanie dla swych... sponsorów.

— Dla Sowietów? — spytał Dave.

— Tak, tak, dla kogóż by innego? Jeśli chcą w ogóle marzyć o przejęciu władzy na Filipinach, muszą mieć spore pieniądze, więc ubili interes z Sowietami. Tamci płacą im duuużą forszę w zamian za wykonanie pewnej specjalnej roboty.

— Jakiej roboty?

— Tego nie wiem, naprawdę. Nie powiedzieliby mi przecież. Zapłacili za to, żebym przewiózł ich na Kurnoe i nie zadawał zbędnych pytań, co też zrobiłem.

— Kurnoe?

— Och, to taka mała wysepka na północ stąd. O ile wiem, nikt tam nie mieszka... no, może z wyjątkiem partyzantów. Coś ma się tam już wkrótce wydarzyć, a oni bardzo się do tego szykują.

— Możesz mi pokazać drogę do tej wyspy?

Oczy Kelly'ego rozszerzyły się nieznacznie.

— Hej, proszę pani, należy wiedzieć, w którym miejscu skończyć. Jest pani sama, a tych facetów jest setka i nie są zbyt mili, proszę mi wierzyć!

Dave pokręcił głową i powiedział:

— Pokaż pani to, o co prosi, Kelly, chyba że chcesz się z nią droczyć do samego rana.

Kelly wzruszył ramionami.

— Masz przecież mapy, Dave. Przynieś je tutaj, to pokażę, gdzie to jest. Ale musi się tam pani dostać sama, proszę pani. Nie chciałbym, żeby te oprychy widziały, że to ja im panią przywozłem.

— Świetnie — odparła Flaherty. — Dave, muszę się połączyć z moim kumplem z bazy powietrznej w Japonii.

— Nastawię radio — odrzekł Dave.



Lila wyjęła wielki kawał płótna z jednej ze skrzyń i owinęła nim kilkakrotnie całe ciało. Potem wyłączyła latarkę, by nie zużywać baterii, i usiadła w ciemności. Również zapas tlenu należało oszczędzać, więc używała butli tylko co jakiś czas. Starła się zebrać myśli i modlić.

— Panie — mówiła cicho — nie wiem, gdzie jestem, ani czy kiedykolwiek się stąd wydostanę. Proszę, pomóż mi. Proszę, przyślij ratunek. Błagam...

Przerwała. Czowała, że Bóg jej odpowiada, lecz to, co mówił, nie było tym, co chciała usłyszeć.

— Panie Boże, ja potrzebuję pomocy! Nie mogę o tym teraz myśleć.

Lecz Jego głos nie zamilkł. Przypominał jej słowa Biblii mówiące o tym, że gdy ktoś składa na ołtarzu ofiarę, a przypomni sobie, że jego bliźni ma coś przeciwko niemu, powinien natychmiast zostawić

ofiarę przed ołtarzem i odejść; najpierw należy się bowiem pogodzić z bliźnim, a dopiero później składać ofiarę.

Nie mówiła już nic i nie modliła się. To wina taty, myślała. To zawsze była jego wina.

— Panie — odezwała się łagodnie, nieco przestraszona słów, które zamierzała powiedzieć — nie postępujesz ze mną sprawiedliwie. I tak nie było mi łatwo, a Ty do tego wpakowałeś mnie w całą tę historię.

Przypomniała sobie słowa, jakie wypowiedział ojciec tuż przed jej wyjazdem z Japonii: „Lila, musisz myśleć także o innych. Nie jesteś pępkiem świata”.

— Powinien był ze mną więcej rozmawiać — odpowiedziała swoim własnym myślom. — Od kiedy to tak naprawdę interesuje go, co ja czuję?

Wtedy Bóg znowu się do niej odezwał, a ona odpowiedziała:

— Panie... oczywiście, że myślę o sobie! To ja jestem teraz w opałach! To ja cierpię! Ostatecznie grozi mi śmierć w tej puszczy!

Ja, ja, ja. Bóg zdawał się wyliczać, ile razy powtórzyła to słowo.

— W porządku — odparła niechętnie. — Ja... będę od teraz mówić o tacie i Jayu. Zastanawiam się, co robią teraz, kiedy mnie z nimi nie ma? Ciekawa jestem, czy bardzo im mnie brakuje? — Nagła myśl przyszła jej do głowy. — Ciekawe, czy w ogóle wiedzą, że jestem w kłopotach?

Pan znów do niej przemówił.

Zniechęcona oparła głowę o zimną, metalową ścianę.

— Dobrze, już dobrze. Myślę tylko o sobie.

— Wtedy w bazie lotniczej również myślałam o sobie. Nie powinienam była mówić tego, co powiedziałam.

Cała scena przewinęła jej się przed oczami niczym urywek filmu. Widziała, jak ojciec niesie jej bagaże do odprawy. Widziała ból w jego oczach.

Pamiętała, co wtedy powiedział: „Porozmawiamy o tym później.”

I słyszała niemal swoją odpowiedź: „Uwierzę, jak usłyszę na własne uszy. Ciebie po prostu nic nie obchodzi! Nigdy cię nie obchodziło!”

Wiedziała, jak boleśnie ugodziły go jej słowa. Trafiła dokładnie w czułe miejsce.

Gwałtownym ruchem głowy wymazała tę scenę z pamięci.

— Wtedy nie żałowałam tych słów... ale myślałam, że będziemy mogli jeszcze porozmawiać. Myślałam, że jeszcze go zobaczę. — Poczula, jak smutek i rozpacz wypełniają jej serce. — Boże, a co będzie, jeśli ja tu umrę?

Przez chwilę wydało jej się, że Bóg milczy, że jej nie słucha. Potem jednak zrozumiała.

Dawał jej czas, żeby o tym pomyśleć.

Niezwykły zakład

Podczas gdy dziesięciometrowa łajba Złego Dave'a przeciskała się poprzez rafy, doktor Cooper i Jay mogli się na własne oczy przekonać, że wyspa Kurnoe z pewnością nie stanowiła atrakcji turystycznej. Był to mały, płaski skrawek lądu porośnięty gęsto kokosowymi palmami. Na zawietrznej stronie wysepki leżała jedyna wioska, bezkształtna zbitka słomianych chat, spośród których wyrastała szkaradna konstrukcja z rdzewiejącego metalu oraz kawałków starych samolotów pamiętających czasy drugiej wojny światowej. Jedną ze ścian konstrukcji stanowiło skrzydło japońskiego myśliwca Zero z wyraźnie widocznym znakiem Wschodzącego Słońca.

— Jedynymi ludźmi, którzy kiedykolwiek interesowali się tą wyspą — tłumaczył Dave — byli Japończycy, w czasie wojny. Podobno mieli tu ukryty pas startowy.

Doktor Cooper przyglądał się wiosce przez szkła lornetki. — Pas startowy? Wystarczająco duży, żeby wylądował na nim starlifter?

— Być może, jeśli taki pas w ogóle tam jest oraz jeśli ma się wystarczająco wielu ludzi, by móc go naprawić i wydłużyć.

— Och... na brak ludzi nie mogą narzekać.

Dave pokiwał smętnie głową.

— Kelly mówił prawdę. Pełno tu komunistów i chyba nie cieszą się zbytnio z naszej wizyty.

Doktor Cooper podał lornetkę synowi, który natychmiast przytknął ją do oczu. Ujrzał grupę ciężko uzbrojonych, groźnie wyglądających osobników, którzy tłoczyli się na przystani, wpatrując się w obcą łódź przybijającą do wyspy.

— Jak my się przedostaniemy przez tę zgraję? — spytał Jay.

— Ciekaw jestem, jak pani Flaherty się przedostała? — zastanawiał się doktor.

Dave pokręcił głową.

— Cóż, mówiłem jej, żeby nie wyruszała sama, ale nie posłuchała; bała się, że zgubi ślad, jeśli będzie musiała na was czekać. Ale nie ma się co martwić. Ona ma swoje sztuczki, zobaczycie.

— A na czym ma polegać nasza sztuczka? — zapytał Jay.

— Och, to całkiem proste. Jesteście chrześcijanami, znacie Biblię i wiecie, jak należy się zachować. Powiem im, że jesteście przyjaciółmi księdza Garrisona, misjonarza. Miejmy nadzieję, że za nim zdążą was wypytać o szczegóły, Garrison dotrze na miejsce, a wtedy pójdzie już jak z płatka.

Z niezmałonym spokojem Dave pozwolił łodzi łagodnie wpływać do przystani. Dwunastu komunistycznych bojówkarzy w ciemnych panterkach już tam na nich czekało z karabinami w dłoniach. Tylko jeden z nich chwycił linę i pomógł przycumować łódź, podczas gdy pozostałych jedenastu groźnym wzrokiem przyglądało się przybyszom.

Dave pomachał do nich ręką i uśmiechnął się. Doktor i Jay zrobili dokładnie to samo.

Dave odezwał się do nich ściszym głosem:

— Znam dowódcę. Zostawcie to mnie.

Potem wskoczył na pomost, by porozmawiać z muskularnym, śniadym mężczyzną, na którego plecach wisiał wielki karabin maszynowy. Dave wyrzucił z siebie kilka przyjaznych słów wyjaśnienia w dialekcie filipińskim. Dowódca przez przeraźliwie długą chwilę mierzył nieznanomych badawczym wzrokiem, po czym zasypał Dave'a gradem wściekłych pytań i oskarżeń, na które biedny Dave starał się odpowiedzieć. Mężczyzna zaniósł się głośnym, okrutnym śmiechem i dał Dave'owi brutalnego szturchańca. Dave starał się jeszcze coś wytłumaczyć, lecz dowódca miał już dość rozmowy. Najwyraźniej nie spodobały mu się wyjaśnienia przybysza. Kategorycznym tonem rzucił coś do swych podwładnych i nagle wszystkie lufy skierowały się na trójkę intruzów.

Dave podniósł w górę obie ręce i przetłumaczył im wściekle okrzyki dowódcy.

— Lepiej podnieście ręce do góry. On chce, żebyście wysiedli z łodzi i to szybko!

Doktor Cooper spojrział na syna.

— Sztuczki Dave'a się skończyły.

Z uniesionymi w górę rękami zaczęli wychodzić z łodzi. Partyzanci rzeczywiście nie byli zbyt miłymi facetami. Na domiar złego cuchnęli odrażająco.

Wtem od strony wioski rozległo się głośnie wołanie.

— Randy! Jack! Niech Bogu będą dzięki, co za niespodzianka!

Oczy wszystkich zwróciły się na rubasznego, opalonego mężczyznę o pucułowatej twarzy, który z szeroko otwartymi ramionami i uśmiechem od ucha do ucha dreptał do nich od strony wioski. Obok niego podążało dwóch tubylców w spódnickach z trawy, którzy z radosnym uśmiechem powtarzali coś w swym ojczystym języku. Gniew żołnierzy znacznie zelżał. Niektórzy zdawali się wręcz zawiedzeni.

— Jerry, kopę lat! — krzyknął radośnie Dave, po czym rzucił się pucułowatemu mężczyźnie w ramiona. Nastąpiły serdeczne przywitania, głośnie okrzyki i śmiechy.

— Jerry! — krzyknął doktor Cooper, wyciągając ręce w geście powitania.

— Jerry! — powtórzył Jay, uznając, że jest to najlepsze rozwiązanie.

Jerry schylił się i pomógł im wydostać się z łodzi.

— Co tam u was słyhać? — spytał.

— Och, w porządku, wszystko w porządku — odparł doktor.

— Au Mary?

— Też dobrze.

— Myślałem już, że nigdy się tu nie zjawicie. Słuchajcie, przygotowałem dla was pokój przy kaplicy. Chodźcie, wszystko wam pokazę. Macie bagaż?

— No...

— Moki, Sulu! — zwrócił się Jerry do dwójki tubylców, po czym wydał im kilka poleceń. Natychmiast wskoczyli do łodzi i złapali za pakunki Cooperów. — Chodźcie, czas coś zjeść!

Z tymi słowami pulchny mężczyzna zaczął torować im drogę przez zwartą grupę partyzantów. Trzech przybyszów podążyło za

nim w stronę wioski, a kilka metrów za nimi dwóch tubylców zmagło się z ciężkim bagażem.

— Uśmiechajcie się — szepnął do nich Jerry.

Więc uśmiechali się, rozmawiali, wymyślali imiona dla nie istniejących osób, klepali się po plecach, robili wszystko, co, jak im się zdawało, starzy znajomi spotykający się po latach powinni robić. Wchodzili coraz głębiej w las, aż w końcu znaleźli się poza zasięgiem wzroku partyzantów.

— Tędy — rzucił Jerry i poprowadził ich ścieżką pośród wysokich palm.

Po paru chwilach stanęli przed niewielką budowlą bez ścian, na którą składały się tylko cztery słupy i słomiany dach. Pod dachem stały rzędy zbitych z bali ławek oraz ustawiona do nich przodem ambona.

— Witam w kaplicy na Kurnoe, placówce misyjnej na Morzach Południowych! — Wyciągnął dłoń i dodał. — Jestem Jerry Garrison. Jak się naprawdę nazywacie, Randy i Jack?

— Doktor Jake Cooper.

— A ja Jay.

— Mam nadzieję, że znacie jakąś Mary...

Doktor Cooper uśmiechnął się przyjaźnie.

— Tak, rzeczywiście mam kuzynkę imieniem Mary i o ile mi wiadomo, ma się dobrze.

— To dobrze. Może nie powinienem był używać tak pogańskiego wybiegu, ale... Sami widzicie, że przybyliście tu w nie najlepszym momencie. Nie wiem, czy szukacie kłopotów, ale tu znajdziecie ich pod dostatkiem.

— Szukają zaginionego samolotu — wyjaśnił Dave. — Na pokładzie była córka doktora Coopera.

Oczy Jerry'ego stały się większe.

— Aha, więc o to chodzi! — Pokiwał głową sam do siebie, zamyślił się przez chwilę, po czym rzekł zniżonym głosem — Ci komuniści są tu już od jakiegoś miesiąca. Pracują nad starym japońskim pasem startowym na drugim końcu wyspy.

Doktor Cooper i Jay wymienili podekscytowane spojrzenia.

— Dzięki Bogu — odparł doktor — zdaje się, że podążamy właściwym tropem.

Jerry'emu nie było jednak do śmiechu.

— Niech pan postępuje bardzo ostrożnie, dobrze panu radzę. Ci ludzie przyjechali tu w jakiejś konkretnej sprawie

i bardzo niechętnie patrzą na obcych. Sam pan widział ich mordercze spojrzenia. — Przynął się bliżej i wyszeptał — Zdaje się, że coś poszło nie po ich myśli. Nic mi co prawda nie powiedzieli, ale z tego, jak się zachowują i co mówią, widzę jasno, że coś się stało. Ich plany wzięły w łeb.

— Co pan ma na myśli?

— Trzy dni temu wszyscy wybrali się na drugi koniec wyspy, na pas, i na coś tam czekali, lecz nic się nie wydarzyło, nie przyleciał żaden samolot. Od tamtej pory są strasznie zdenerwowani i podejrzliwi wobec nieznanym. Jeśli uznają, że ktoś bez wyraźnego powodu kręci się po okolicy, potrafią być bezwzględni. Cieszę się, że w porę zauważyłem waszą łódź. Mogli zastrzelić was na miejscu, nie przesadzam.

— Czemu tego nie zrobili? — spytał Dave.

Jerry uśmiechnął się.

— Mmm, jestem dla nich dobry. Karmię ich, daję dach nad głową. Zwykle więc tolerują obecność moich przyjaciół. Podobnie było z pewną kobietą, która tu niedawno przybyła...

Dave wiedział, o kogo chodzi.

— Margaret Flaherty?

Jerry obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

— Kto?

— Piękna kobieta z długimi, rudymi włosami, mniej więcej tego wzrostu...

Jerry pokręcił głową.

— Nie, wielkie nieba, nie! Myślisz, że piękna kobieta przetrwałaby chociaż godzinę pośród tej dzikiej watahy? Nie, to była stara handlarzka z jednej z południowych wysp zajmująca się sprzedażą materiałów. Przekonałem partyzantów, że powinni kupić trochę materiału na łaty do ubrań, więc wpuścili ją na wyspę.

Tym razem Dave posłał Jerry'emu zdziwione spojrzenie.

— A... gdzie moglibyśmy znaleźć tę kobietę?

— Och, myślę, że jest w sklepie. Wiesz, w tej starej szopie z kałków japońskiego myśliwca.

Sklep na Kurnoe, podobnie jak magazyn Dave'a na Pulosape, był ośrodkiem życia wyspy. W tym małym baraku poskładanym z ka-

walków żelastwa nieustannie coś kupowano i sprzedawano, opowiadano przeróżne historie, popijano rozmaite alkohole. Wzburzone fale przypływu już kilkakrotnie zmywały ów ciasny przybytek z powierzchni ziemi, za każdym jednak razem był on odbudowywany przy użyciu tych materiałów, które akurat przyniosło morze — ostatnim razem były to resztki starego samolotu.

Tego dnia sklep pełen był znudzonych beczynnością komunistycznych rebeliantów, którzy otaczali zwartym kręgiem ustawiony pośrodku stolik, zrobiony zresztą z ogona samolotu. Przy stole siedziało naprzeciwko siebie dwoje ludzi: silny, przystojny tubylec o muskularnym ciele i ciemnej skórze, oraz stara handlarka z pobliskiej wyspy, siwa kobieta ubrana w różnobarwne, jaskrawe tkaniny służące jako reklama sprzedawanych przez nią wyrobów.

Na stole pomiędzy nimi leżał niewielki stos monet, złoty medalion na łańcuszku oraz blaszane talerze.

Na każdym z talerzy leżała poruszająca się, żywa masa wielkich ślimaków o długich, ruchliwych rożkach. Kilka pustych skorupki na obu talerzach świadczyły o tym, że część ślimaków zdążyła już zniknąć w gardłach graczy. Był to bowiem zakład.

Mężczyzna sięgnął po kolejnego ślimaka, oderwał go od talerza, przytrzymał skorupkę w dłoni, po czym wydłubał ślimaka specjalnym widelcem. Z wojowniczym wyrazem twarzy odrzucił w tył głowę i wrzucił sobie ślimaka wprost do gardła, a potem popił szklaneczką wódki.

Oczy widzów zwróciły się na starą kobietę. Pomieszczenie wypełniło się szmerem pełnym napięcia.

Kobieta uśmiechnęła się lekceważąco, obnażając przy tym mocno zdekompletowane uzębienie, po czym zrobiła dokładnie to samo co jej przeciwnik, z tą jedynie różnicą, że popiła ów przysmak szklanek wody.

Teraz z kolei uwaga publiczności skupiła się na mężczyźnie. Wyglądał na nieco zemdlonego, lecz pogardliwy uśmiech nie schodził mu z ust, gdy pewnym ruchem nabił na widelec dwa ślimaki i połknął je oba jednocześnie, popijając kolejnym łykiem wódki.

Oczy przeniosły się na kobietę. Przez chwilę namyślała się nad następnym ruchem, po czym zachichotała cicho, nabiła cztery ślimaki i wrzuciła je sobie do ust, a potem popiła wodą.

Rozległ się cichy pomruk uznania i oczy wszystkich znowu zwróciły się ku mężczyźnie. Co zrobi? Czy wyrówna stawkę, czy też będzie próbował ją podwyższyć?

Tubylec wziął głęboki oddech, wyprostował ciało, by zmniejszyć nacisk na przepełniony jedzeniem brzuch, a potem... sięgnął po sześć ślimaków, czym doprowadził tłum do istnego szaleństwa. Ślimaki po kolei znikwały w jego ustach —jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Z nadętymi do granic wytrzymałości policzkami, długo żuł gąbczastą masę. Potem przełknął kilka razy i desperackim ruchem chwycił za szklanę z wódką.

Stara kobieta zastanawiała się nad następnym posunięciem, cały czas obserwując jednak swego przeciwnika. Usta miał mocno zaciśnięte, jak gdyby w każdej chwili spodziewał się jakiejś nagłej eksplozji. Na ten widok handlarka uśmiechnęła się szeroko, wydała z siebie radosny okrzyk i nałożyła sobie na talerz sześć... siedem... osiem ślimaków. Mężczyzna mętным wzrokiem przyglądał się, jak starucha wydłubuje jednego ślimaka po drugim, a jego twarz stawała się coraz bardziej blada.

Z ośmioma gotowymi do zjedzenia ślimakami w dłoni, handlarka odrzuciła w tył głowę, uniosła ślimaki do ust i...

Tubylec gwałtownie przycisnął sobie rękę do ust i wybiegł z pokoju. Partyzanci wybuchnęli głośnym śmiechem. Stara kobieta odłożyła osiem ślimaków z powrotem na talerz, uśmiechnęła się z ulgą, po czym odsunęła talerz na bok. Ktoś sprzątnął ślimaki ze stołu. Pojedynek był skończony.

Handlarka sięgnęła po monety i medalion, wrzuciła je do małej sakiewki i wstała przy aplauzie widzów, którzy przystąpili do rozliczania zawartych wcześniej zakładów. Wielu postawiło na kobietę, więc teraz wydierali się wniebogłose z radości. Inni stawiali na mężczyznę, lecz mimo to porażka nie popsowała im dobrego nastroju wywołanego niezwykłym przedstawieniem.

Jeden z przegranych, atletycznie zbudowany dryblas, nie potrafił się jednak pogodzić z utratą pieniędzy. W momencie gdy kobieta zbliżała się do drzwi, zaszedł jej drogę z nieprzyjnym wyrazem twarzy. Dwóch innych rzezimieszków dołączyło do niego z obu stron i razem stworzyli trudną do sforsowania żywą ścianę.

Kobieta przystanąła i spojrzała na nich pytającym wzrokiem.

Dryblas wyciągnął przed siebie otwartą dłoń. Chciał sakiewkę. Jego dwaj kompani uderzali pięściami w dłonie w bardzo wymownym geście groźby.

— Hej, a wy tu czego? — rozległ się nagle głos zza ich pleców.

Odwrócili się ze zdziwieniem, by zobaczyć, kto mówi. Dwaj mężczyźni oraz młody chłopak stali w drzwiach sklepu.

Kobieta bez chwili namysłu rzuciła sakiewkę mężczyźnie stojącemu w środku.

Mężczyzną tym był Jake Cooper.

— Uwaga! — wrzasnął Zły Dave, gdy trzech opryszków rzuciło się na nich z pięściami.

Ułamek sekundy później prawy sierpowy Dave'a wyładował dokładnie na podbródku pierwszego z lewej. Doktor Cooper zdołał odepchnąć środkowego. Jay dał nura pod nogami trzeciego napastnika i wstał za jego plecami, dokładnie w chwili, gdy ojciec rzucał mu sakiewkę.

Dwóch innych partyzantów rzuciło się na Jaya, który zdążył wskoczyć pod stół i przeczołgać się po podłodze poza zasięg napastników. Jeden z nich chciał chwycić go za stopę, lecz w ostatnim momencie stara kobieta zdołała podstawić mu nogę, tak że walnął głową o kant stołu i zakończył walkę na podłodze.

Tłum rozwścieczonych komunistów rzucił się na chłopca, który w ostatnim momencie dojrzał kobietę na wolnym polu i wspaniałym rzutem przekazał jej worek z pieniędzmi. Teraz napastnicy zwrócili się w jej kierunku. Pierwszy z nich został jednak oślepiony precyzyjnym uderzeniem palca w oko i padł na podłogę, tarasując drogę innym. Dało to kobiecie moment swobody, który błyskawicznie wykorzystała by rzucić sakiewkę z powrotem do doktora.

Podanie przejęte przez przeciwnika! Chudy, brudny rebeliant przechwycił sakiewkę w powietrzu i z głośnym okrzykiem podniósł ją do góry w geście zwycięstwa.

Niedługo jednak cieszył się swą zdobyczą. Oto Jay wyrósł przy nim jak spod ziemi, wyrwał cenną zdobycz z rąk zaskoczonego partyzanta i rzucił się do ucieczki. Rebeliant chwycił Jaya w pasie i podniósł go do góry, to jednak dało chłopcu znakomitą sposobność kopnięcia w twarz innego z napastników, który potoczył się na ziemię. Pierwszy z rebeliantów jeszcze przez chwilę trzymał Jaya w stalo-

wym uścisku, ponieważ jednak uścisk taki całkowicie angażował obie ręce, rzezimieszek był zupełnie bezbronny wobec ataku kobiety, która rozbiła mu na głowie butelkę po wódce. Uwolniony w ten sposób chłopiec jeszcze raz rzucił sakiewkę ojcu.

Doktor Cooper wykonał błyskawiczny skłon w przód, przyjął na plecy ciężar rozpedzonego rebelianta, po czym wyprostował się gwałtownie, wyrzucając nieszczęśnika za kontuar lotem nurkującym. Precyzyjne uderzenie ciężkiego buta unieszkodliwiło drugiego napastnika, dokładnie w chwili, gdy stara kobieta prześliznęła się obok nich w drodze do drzwi. Szybkim ruchem przejęła sakiewkę z rąk doktora, po czym z całych sił rzuciła się do wyjścia, goniona przez kolejnego rebelianta.

Nagle drzwi zamknęły się z trzaskiem, a zaskoczony rebeliant wszedł w niespodziewanie bliski z nimi kontakt. Nieprzytomny osunął się na ziemię.

— Ojej! — zawoła kobieta z udawanym współczuciem, wyglądając zza drzwi.

W ruch poszły karabiny. Zabawa stawała się niebezpieczna.

Zły Dave w genialnie prosty sposób powstrzymał niekorzystny rozwój sytuacji.

— Hej, spokój! — krzyknął i zaskakująco szybko zwrócił na siebie uwagę dokładnie wszystkich.

Być może stało się tak dlatego, że dzierżył w dłoni laskę dynamitu z zapalonym lontem.

W mgnieniu oka wszyscy zamienili się posągi. A potem, w ułamku sekundy, wszystkie otwory znajdujące się w budynku stały się drzwiami. Partyzanci i tubylcy ile sił w nogach opuszczali zagrożony teren, rozbiegając się we wszystkich kierunkach.

— Idziemy! — odezwał się Dave, trzymając dynamit wysoko nad głową, tak by każdy mógł go wyraźnie widzieć.

Ruszył do drzwi, a za nim obaj Cooperowie i stara kobieta. Wszyscy z wielką grzecznością usuwali im się z drogi. Wydostawszy się ze sklepu, biegli w stronę lasu, ku kaplicy.

Doktor Cooper z niepokojem zauważył, że lont staje się niebezpiecznie krótki.

— Dave, wyrzuć to gdzieś! Zabijesz nas wszystkich!

— Dopiero, gdy będziemy bezpieczni!

— Bezpieczni? — wrzasnął Jay. — Wcale nie czuję się teraz bezpiecznie!

— Och, nie martwcie się tak bardzo!

W końcu dotarli do kaplicy. Lont miał już nie więcej niż dwa centymetry długości.

Cooperowie rzucili się w krzaki, kryjąc głowy w ramionach.

Dave i stara kobieta stali przed kaplicą i spokojnie obserwowali tłący się lont.

Parę sekund później lont się dopalił.

— Mmm, niezłe — orzekł Dave, przyglądając się lasce dynamitu.

Po raz pierwszy kobieta wydała z siebie głos. Jak na starą Polinezyjkę mówiła zaskakująco doskonałą angielszczyzną z silnym, irlandzkim akcentem.

— Dave, przyjdzie kiedyś dzień, że po raz drugi użyjesz tej samej sztuczki na tych samych ludziach i co wtedy będzie?

Jeden po drugim Cooperowie wysunęli głowy zza zasłony traw i spojrzeli w stronę, gdzie stali Dave i kobieta. Z bezpiecznej odległości przyglądali się, jak Dave rozwija dynamit, a potem zdejmuje skórę z tego, czym w rzeczywistości ów dynamit był — czyli z banana. Ugryzł kawałek, a potem poczęstował kobietę, która najpierw wyjęła z ust sztuczną, szczerbatą szczękę, a dopiero później się poczęstowała.

Dave zaśmiał się głośno z pełnymi ustami.

— Hej, chłopaki, wyłaźcie stamtąd! Zjedzcie banana w towarzystwie perły Południowego Pacyfiku i reszty świata, pani Margaret Flaherty!

Doktor Cooper i Jay spojrzeli na siebie z głośnym westchnieniem.

— Synu — odezwał się doktor :— zostaliśmy zrobieni w balona.

Gdy wyszli z ukrycia, stara kobieta zdjęła z głowy siwą perukę i potrząsnęła długimi, rudymi włosami.

Wyciągnęła dłoń w geście powitania.

— Doktorze Cooper! Wiele słyszałam o panu i pańskich dzieciach od naszego wspólnego przyjaciela, pułkownika Williama Griffitha.

Uściskała jej rękę, nie mogąc otrząsnąć się ze zdziwienia.

— Miło mi panią poznać. To mój syn Jay.

Przywitała się z chłopcem.

— Witaj, Jay.

Dave podał jej kawałek wilgotnej tkaniny, za pomocą której starła sobie z twarzy tubylczą śniadość oraz starcze zmarszczki. Oczom zdumionych Cooperów ukazała się jasna, delikatna skóra ładnej Irlandki.

Dave uśmiechnął się, wyraźnie z niej dumny.

— Ciekaw byłem, jak uda ci się przetrwać wśród tych oprychów.

— Nie było łatwo. Przez jakiś czas wszystko szło dobrze, ale potem sprawy przyjęły niebezpieczny obrót. Na szczęście zjawiliście się we właściwym momencie. Jestem wam bardzo wdzięczna.

— Tylko po co to wszystko było? — spytał doktor. — Zamieszanie było takie, że wszyscy mogliśmy zginąć, i za co? Za sakiewkę z pieniędzmi?

Wyjęła sakiewkę z kieszeni.

— Nie, nie o pieniądze chodziło. Nie ma takiej sumy, dla której zgodziłabym się połączyć to świństwo. Ten człowiek miał medalion, na którym wygrawerowane było imię. Pomyślałam, że może to pana zainteresować.

Sięgnęła do sakiewki i wyjęła z niej medalion. Było to małe, złote serce na łańcuszku. Odwróciła medalion i położyła go na dłoni doktora.

Doktor Cooper rozpoznał go natychmiast. Jay także. Obaj dobrze pamiętali, jak brzmi wygrawerowana na odwrocie dedykacja:

„Mojej córce Lili na trzynaste urodziny — ojciec”.

Utracona nadzieja

Doktor Cooper i Jay nie potrafili ukryć podniecenia.

— Ten człowiek, z którym się pani założyła... — odezwał się doktor. — Skąd on to wziął?

Pani Flaherty pokręciła głową.

— Nie chciał powiedzieć. Przyrzekł, że powie, jeśli wygram zakład, ale teraz, po tym, co się wydarzyło... Przecież nie wrócę tam teraz, żeby z nim porozmawiać.

— Doprawdy niewiarygodna jest łaska Pana! Jesteśmy na właściwym tropie, ale...

— Zupełnie nic pani nie powiedział? — dopytywał się

Jay.

— Tylko jedno — odrzekła Flaherty. — Mówił, że dostał ten medalion od starego poławiacza pereł.

— Tak, szukaj wiatru w polu — wymamrotał Dave. — Na wyspie aż się roi od poławiaczy pereł.

— Chodźmy — rzucił doktor. — Zobaczmy, co wie na ten temat nasz misjonarz.

Jerry przyjął ich powrót z uczuciem ulgi oraz z wielką ciekawością co do osoby niedoszłej handlarki. Opowiedzieli mu o zakładzie oraz o ożywionej wymianie zdań, jaka potem nastąpiła.

— Wdaliście się w bójkę z rebeliantami? — spytał z przerażeniem.

— O ten medalion — rzekł doktor i pokazał medalion Jerry'emu. — Należy do mojej córki. Musimy się dowiedzieć, skąd ten facet go dostał.

Oczy Jerry'ego zrobiły się nieprawdopodobnie wielkie ze strachu.

— Przede wszystkim musicie natychmiast uciekać z wyspy. Dobrze znam dowódcę rebeliantów. Po tym, co zrobiliście, nie wypuści was stąd żywych. Musicie natychmiast odpłynąć!

Doktor Cooper nie dał się odwieść od tematu.

— Ten człowiek powiedział, że dostał to od starego poławiacza pereł. Nie orientuje się pan przypadkiem, o kogo mu chodziło?

Jerry nie zastanawiał się długo.

— Kolo. To na pewno stary Kolo z Tukanii. Jest bardziej śmieciarzem niż poławiaczem pereł. Nurkuje do starych wraków, zatopionych myśliwców i tym podobnych. Zbiera tam różne śmieci, które próbuje potem sprzedać poszukiwaczom pamiątek z czasów wojny lub zwykłym turystom. Nie cieszy się zbytnim poważaniem ze względu na swą niezaradność, ale to jego przede wszystkim bym podejrzewał.

— Tukania?

— To niedaleko stąd. Można dopłynąć w ciągu jednej nocy.

— Dave, zabierzesz nas tam?

— Jasne, doktorze — odparł Dave.

— Zaraz, zaraz! — przerwał im Jerry. — Jeśli macie zamiar udać się na Tukanie, to muszę was przestrzec przed ludźmi, którzy tam mieszkają, przed Sutolo!

— Nie lubią obcych? — spytał doktor.

— Wręcz odwrotnie, uwielbiają — odparł Jerry, po czym dodał — Zwłaszcza na obiad. To kanibale.

— No, pięknie! — zawołał Dave.

— Och, Dave — odparł Jerry — ani ty, ani doktor Cooper nie macie się o co martwić: jesteście za starzy, za bardzo łykowaci. Ale Jay, albo pani Flaherty... no cóż...

— Musimy przede wszystkim myśleć o Lili — rzekł doktor. — Chodźmy już lepiej. Jerry, może byłoby lepiej, gdyby poszedł pan z nami?

— Nie, nie, nie czekajcie na mnie. Idźcie już, tylko szybko! Zostanę tutaj i postaram się opóźnić pościg. Nie martwcie się o mnie, dam sobie radę. Dave, powiem ci teraz, jak dopłynąć do Tukanii.

Jerry i Dave odbyli krótką naradę, a potem wszyscy oprócz misjonarza zebraли szybko swoje rzeczy i ruszyli pod osłoną zapadającego mroku w stronę przystani, w której stała łódź Dave'a.



Kilka godzin później, gdy ciemność spowiła wyspę niczym czarny szal, a mieszkańcy wioski szykowali się do snu, kilka tajemniczych postaci zbliżyło się do kaplicy od strony lasu. Szybko, bezszelestnie przemykały się od drzewa do drzewa, a w ich dłoniach niebieskawo połyskiwały w świetle księżyca lufy karabinów.

Potem trawy rozstały się i kilka par błyszczących oczu zwróciło się w stronę kaplicy. Na kilku rozstawionych pod słomianym dachem pryczach spali goście — dwaj podejrzani Amerykanie, znany w okolicy wyspiarz zwany Złym Dave'em oraz tajemnicza handlarzka, która w połknięciu ślimaków nie miała sobie równych.

Pierwszą osobą, która zdecydowała się wyjść z ukrycia i podejść do kaplicy, był dowódca rebeliantów, ten sam ponury typ, który przywitał obcych na przystani. Z groźną miną nakazał swym ludziom, by się zbliżyli. Po cichu weszli do kaplicy i otoczyli śpiących.

Z karabinem gotowym do strzału dowódca podszedł do pryczy doktora Coopera i mocno chwycił archeologa za szyję.

Głowa doktora spadła z pryczy i poduszka wylądowała miękko na podłodze.

Ku zaskoczeniu napastników, chłopak okazał się wsadzonym w śpiwór pniakiem, zaś stara kobieta — zwojem różnokolorowych materiałów. Zły Dave był tylko snopkiem trawy.

Dowódca wpadł w straszliwą złość! Burknął coś do swoich ludzi, po czym cała wataha z karabinami w dłoniach pognąła do chaty misionarza. Jednym kopniakiem dowódca otworzył kruche drzwi chaty i ujrzał śpiącego w łóżku duchownego.

Ciemność ożyła oślepiającymi błyskami. Ilość ołowiu, jaką wypłuły z siebie lufy karabinów, mogła wystarczyć do zabicia niejednego, lecz kilkunastu ludzi.

Zrzucili z łóżka podziurawiony koc.

John Garrison okazał się słomianą kukłą.

Dowódca wydał parę rozkazów, po czym cała banda pognąła na przystań. Łódź Złego Dave'a zniknęła. Łódka handlarzki stała przy brzegu, lecz już po chwili zatoneła podziurawiona gradem kul. Wściekły herszt bandy zebrał swych ludzi, by omówić z nimi plan dalszego działania.



Nie widząc dnia ani nocy, nie miała sposobu, by określić, ile czasu spędziła już w tej zimnej, ciemnej krypcie. Lila modliła się tak długo, aż brakło jej słów; serce miała puste, a umysł otepiały. Zasnęła na jakiś czas z maską tlenową na twarzy, by nie udusić się podczas snu.

Nic nie uległo zmianie, gdy się obudziła. Koszmar trwał dalej. Chłodny, stalowy kontener nadal otaczał ją ze wszystkich stron; nadal panowała w nim idealna cisza. Mimo to dziewczynka odzyskała jasność umysłu i była gotowa podjąć jakieś działanie, gdyby tylko wiedziała jakie.

Przez chwilę przyglądała się w świetle latarki ciężkiemu włazowi. Jedyne wyjście z blaszanej puszkii prowadziło właśnie tamtędy. Nie miała pojęcia, co znajduje się po drugiej stronie, lecz był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Gdyby tylko mogła... jakoś ten właz podważyć, zrobić chociaż małą szparkę. Musiał być jakiś sposób ni otwarcie pokrywy.

Uważnie zbadała mechanizm. Klamka znajdowała się po drugiej stronie i było niemal pewne, że od środka nic nie da się zdziałać. Przyjrzała się krawędzi włazu. Mocno przylegała do powierzchni pokrywy.

Przysunęła do siebie torbę z narzędziami, wyjęła z niej wielki śrubokręt i wetknęła go w spojenie pomiędzy włazem i pokrywą. Nie była zaskoczona, że właz ani drgnął. Była to solidna konstrukcja, która z zasady nie powinna ustępować trzynastoletniej dziewczynie.

No tak, pomyślała Lila. Nadal niewiele wiem o miejscu, w którym się znajduję.

Postanowiła dowiedzieć się więcej. Wiedziała już, co zawiera torba z narzędziami, więc odsunęła ją na bok. Co jeszcze znajdowało się w tym stalowym grobowcu?

Rzeczą, która od razu rzuciła się w oczy, była olbrzymia, prostokątna skrzynia, która zajmowała dużą część wnętrza. Od niej postanowiła zacząć. Ostrożnie przesunęła się do góry, czując jak kontener kołysze się z każdym jej ruchem, aż wreszcie dotarła do skrzyni.

Na jej powierzchni nie było żadnych widocznych oznaczeń. Było to wielkie, gładkie pudło z drewna z wiekiem przybitym gwoździa-

mi. Ostrożnie obeszła skrzynię dookoła w poszukiwaniu jakichś napisów czy oznaczeń oraz słabych miejsc, które umożliwiłyby jej otwarcie. Nie znalazła niczego.

Powoli wróciła po torbę z narzędziami i przy targała ją pod skrzynię. Łom powinien wystarczyć.

Wcisnęła koniec łomu w szparę pod wiekiem i zaczęła napierać. Wieko okazało się bardziej przyjazne od włazu — odeszło bez problemu. Wyjęła jeden gwóźdź, potem drugi, trzeci i następne umieszczone wzdłuż kolejnych boków wieka. Metalowa kłapa była gotowa do podniesienia. Jednym zdecydowanym ruchem zsunęła wieko i w bok.

Zawartość skrzyni opakowana była w styropianową powłokę. Szybko rozsunała styropian na boki.

„Cóż to może być?” Wyglądało jak jakaś maszyna rodem z filmów science fiction, coś jak robot, albo satelita. Miało długi, cylindryczny tułów z błyszczącego metalu i szkła, na którego końcu, niczym głowa robota osadzona i na wąskiej, obracającej się szyi, tkwił peryskop, albo kamera, czy też jakieś inne dziwne urządzenie zjedną wielką czerwoną soczewką, która nadawała całości wygląd jednokiej istoty z obcej planety.

Rozsunęła szerzej styropianową powłokę. Jej oczom ukazały się cienkie, pajęczne odnóża, mocno podwinęte, by mogły zmieścić się w skrzyni, oraz coś w rodzaju metalowej osłony przytwierdzonej za pomocą śrub.

Złapała za śrubokręt i zaczęła odkręcać śruby. Zadanie okazało się łatwe. Odsunęła osłonę.

Ach! Jakaś tablica rozdzielcza. Przełączniki, przyciski, wskaźniki. Przyglądała się temu przez dłuższą chwilę, starając się dojść, czym jest to dziwne urządzenie. Szkoda, że nie było instrukcji obsługi. „Jak to włączyć? Może tym przyciskiem tutaj?”

Wcisnęła guzik.

Trzy czerwone diody zabłyśły jasnym światłem, aż podskoczyła z zaskoczenia. I nic więcej. Jeszcze raz nacisnęła guzik i światełka zgasły. Nacisnęła po raz kolejny i światełka się zapaliły. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk, nie działo się nic więcej. „To niewielkie odkrycie, ale zawsze coś.” Wyłączyła latarkę i zauważyła, że czerwone diody dostarczają wystarczająco dużo światła, by mogła widzieć wewnątrz pokryw.

„O, jeszcze jakiś przycisk z napisem „Aktywacja””. Przez chwilę zastanawiała się, czy go nacisnąć, nie miała bowiem pewności, czym może to grozić.

Trzymając się możliwie jak najdalej od tajemniczego urządzenia, Lila wyciągnęła rękę i nacisnęła guzik.

Nic.

Rozluźniła się i nacisnęła jeszcze raz, by wyłączyć to, co być może wcześniej włączyła.

Tak... a ta dźwignia? Była to niewielka rączka długości może pięćciu centymetrów, która przypominała jej joystick do gier komputerowych. Z grami radziła sobie nieźle, może więc uda się jej zdziałać coś tym razem. Spróbowała. Nic się nie stało.

Jeszcze raz nacisnęła przycisk „Aktywacja”, a następnie przesunęła dźwignię do przodu.

Brzęczący dźwięk poderwał ją na równe nogi. Puściła dźwignię i dźwięk zamilkł. Brzęczenie dobiegało z głowy robota. Głowa zmieniła położenie. Wielkie czerwone oko patrzyło teraz trochę bardziej w bok. Jeszcze raz poruszyła dźwignię. Głowa obróciła się na wąskiej szyi, a oko skierowało się dalej w bok. Przesunęła dźwignię w drugą stronę i głowa powróciła do swego pierwotnego położenia, z okiem wpatrzonym prosto przed siebie.

„Nieźle Lila, robisz postępy, przynajmniej w wypadku tej maszyny”.

Jednak po półgodzinie dalszych eksperymentów z dziwnym urządzeniem Lila dała za wygraną. Nauczyła się co prawda zapalać światełka i obracać głową dziwnego robota, lecz nic poza tym, a ta wiedza z pewnością nie mogła jej pomóc w wydostaniu się z tego miejsca.

Przez chwilę myślała w skupieniu. „Może to styropianowe opakowanie okaże się przydatne?” Znalazła jakąś torbę z częściami zamiennymi i opróżniła jej zawartość, a potem nawpychała do środka styropianu. Uśmiechnęła się. Dobry pomysł. Będzie miała coś w rodzaju boi ratunkowej na wypadek, gdyby udało jej się stąd wydostać.

Wydostać się stąd — najtrudniejsze nadal było przed nią.

Spojrzała w stronę włazu. Na samym jego środku znajdowała się wielka płyta przymocowana kilkunastoma sworzniami. Być może pod nią znajdował się mechanizm zamka. Mogłaby poluzować

sworznie za pomocą któregoś z kluczy, a potem... cóż, warto było spróbować.

Zesliznęła się w dół do włazu i po krótkiej chwili odnalazła w torbie odpowiedni klucz. Nałożyła go na pierwszy z brzegu sworznień i ciężarem całego ciała naparła na klucz. Sworznień zaczął się powoli obracać. Po paru mocniejszych pchnięciach obracał się już całkiem swobodnie, a już po chwili trzymała go w ręku. Jeden po drugim zdjęła sworznie z płyty i dla bezpieczeństwa wsadziła je do torby. Potem zdjęła też płytę.

Rzeczywiście, w środku znajdował się jakiś mechanizm, bardzo zresztą podobny do zwykłego zamka. Wiedziała już, że gruby bolec pośrodku porusza znajdującą się na zewnątrz klamką. Teraz wystarczyło tylko go przekręcić.

Znalazła odpowiedni klucz i nałożyła go na bolec. Obleciał ją nagły strach. Co będzie, jeśli wąż nagle się otworzy? Całym ciałem przyłgnęła do powierzchni włazu, a potem, bardzo ostrożnie i bardzo powoli, obróciła bolec o ułamek milimetra.

Zamek działał.

— Boże... chroń mnie, proszę... — modliła się.

Sięgnęła po butlę z tlenem, przypięła ją sobie do paska i założyła maskę na twarz.

Znów chwyciła za klucz i obróciła bolec o kolejne milimetry, po czym dokładnie obejrzała spójnienie pomiędzy włazem a pokrywą. Ani śladu wody, czy jakiegokolwiek przecieku; nic.

Przekręciła bolec jeszcze dalej. Zdawało jej się, że słyszy odgłos uciekających skądś bąbelków. Dźwięk ustał jednak równie szybko jak się zaczął.

Jeszcze trochę dalej. Jest. Ujrzała niewielki wyciek u dołu włazu, nic naprawdę poważnego.

Jeszcze troszeczkę...

Niespodziewanie wąż wystrzelił do wewnątrz! Siła uderzenia rzuciła dziewczynkę na stalową ścianę kontenera. Uderzyła głową o coś metalowego i przez moment miała przed oczami całkowitą ciemność. Woda z wielką siłą wlewała się przez otwarty wąż.

Próbowała zamknąć metalową klapę, lecz była bezradna wobec strasznego naporu wody.

Kontener zatrzęsł się! Ciężar wody ciągnął go w bok! Zaczął spadać!

Lila unosiła się na powierzchni wody, rozpaczliwie próbując się czegoś chwycić, by nie pozwolić się zalać rozszalałej powodzi.

Kontener osuwał się w dół coraz szybciej, kołysząc się przy tym i podskakując gwałtownie. Lila słyszała drapanie skał i piasku o metalowe dno.

Dziewczynka chwyciła się stalowych żeber wystających ze ściany i zaczęła wspinać się po nich coraz wyżej, by uciec przed podnoszącą się wodą.

Nagle pokrywa z głośnym hukiem uderzyła w skały i zatrzymała się raptownie. Siła uderzenia zrzuciła Lilę do wody, pod której powierzchnią dziewczynka szamotała się przez chwilę, nie wiedząc, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała po wynurzeniu się na powierzchnię, były czerwone światełka dziwnego urządzenia. Jeszcze raz wspięła się po stalowych żebrach ku rozświetlającym półmrok diodom.

Kontener zastął w bezruchu, mocno przechylony w bok. Wielka drewniana skrzynia była przytwierdzona do podłogi, więc nie ruszyła się z miejsca, lecz wiele innych przedmiotów pływało teraz po powierzchni wody, która do połowy wypełniała kontener. Torba z narzędziami najprawdopodobniej znajdowała się na samym dnie, głęboko pod wodą. Lila przysiadła na szczycie skrzyni, by odpocząć i zebrać myśli.

Poczuła kłujący ból w uszach. Ciśnienie we wnętrzu pokrywy wzrosło wraz z napływem wody. To właśnie uwięzione w środku powietrze sprawiło, że woda zatrzymała się na pewnym poziomie, a nie wypełniła całej kapsuły. Podwyższone ciśnienie świadczyło jednak o czymś jeszcze: znajdowała się pod powierzchnią oceanu, być może dość głęboko, choć tego akurat nie potrafiła dokładnie określić.

Zebrała w sobie resztki odwagi, zsunęła się do wody i zanurkowała w poszukiwaniu włazu. Nie szukała długo. Wysunęła rękę przez okrągły otwór. Skały. Piasek. Ostre koralowce. Dokładnie zbadała cały otwór, każdy jego milimetr, lecz nie znalazła niczego, co dałoby jej nadzieję. Nie było tam nawet szpary, przez którą mogłaby się precyzyjnie z zewnątrz.

Kontener wbił się w dno oceanu.

Lila wypłynęła na powierzchnię i zapłakała. Czuła gniew, rozpacz i strach graniczący z paniką.

Głębokie, błękitne wody Pacyfiku otaczały pokrywą nieruchomą ciszą. Z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk.

Zanurzona po szyję w wodzie Lila oparła głowę o zimną, metalową ścianę. Płakała. Na jak długo wystarczy jej tlenu z butli? Czy ktoś w ogóle wie, gdzie ona jest?

Kiedyś przepelniała ją wiara i ufność, teraz czuła tylko rozpacz. Świadomość tego, w jakiej sytuacji się znalazła, zabiła w niej wszelką nadzieję.

Jedyna droga ucieczki została zamknięta.

Pościg

Ze wzrokiem wbitym w gwiazdy i dłonią na sterze, Zły Dave prowadził swą łajbę ku małej wysepce o nazwie Tukania. Doktor Cooper, Jay oraz pani Flaherty część podróży przespalili, zaś resztę przegadali, bo było o czym rozmawiać.

— Ci rebelianci zajmują się bardzo brudnymi interesami — powiedziała pani Flaherty. — Oczywiście za wszystkim stoją Sowieci. Naprawdę mi przykro, że najpierw pańska córka, a teraz pan i Jay, zostaliście wmieszani w taką paskudną historię.

Doktor Cooper uśmiechnął się lekko.

— To nam się zdarza dość często, może mi wierzyć. Proszę mi jednak powiedzieć, co panią tu sprowadza?

— Och, oczywiście kłopoty! — odparła z uśmiechem. — Kocham kłopoty i szukam ich! Zajmuję się specjalnymi raportami dla jednej z wielkich agencji prasowych, a najlepszym sposobem pozyskania informacji jest wmieszanie się w tok wydarzeń.

— Teraz wszyscy jesteśmy wmieszani.

— „A powrót potrójny niełatwo się zerwie”. Doktor Cooper rozpoznał cytaty.

— Księga Koheleta. Czytuje pani Biblię?

— Oczywiście, wychowałam się w domu, w którym nauczyłam się żyć Stawem Bożym. Czy pan także jest osobą wierzącą?

Doktor skinął głową.

— Bez polegania na Bogu, nie wiem, jak udałoby nam się przetrwać chwile takie jak ta.

— Jesteśmy więc zgodni co do tego, że los Lili jest bezpieczny w rękach Najwyższego.

— I możemy się modlić.

Pani Flaherty uznała to za znakomity pomysł.

— Tak, to dobry pomysł!

Wzniesli wspólną modlitwę do Boga, by ocalił Lilę i pomógł im ją odnaleźć. Wspólna modlitwa wytworzyła między nimi zupełnie niezwykłe więzy wiary i nadziei, wlała pokój w dusze.

Gdy skończyli, doktor spojrział najpierw na zegarek, a potem daleko przed siebie w poszukiwaniu pierwszych znaków wyspy.

— Jestem dobrej myśli. Widać wyraźnie, że Bóg kieruje każdym naszym krokiem.

— Tak, taki właśnie jest Bóg. Gdziekolwiek idę, zawsze mogę być pewna, że On jest ze mną.

— Co robi pani mąż, podczas kiedy pani podróżuje? — spytał Jay.

Pani Flaherty odpowiedziała lekkim uśmiechem.

— Och, na pewno go o to spytam, gdy już znajdę się w Niebie. John zmarł trzy lata temu.

Jay zmieszał się straszliwie.

— Och... przepraszam.

— Nic się nie stało — uspokoiła go szybko. — W twoim pytaniu nie było nic niestosownego, a ja nie boję się o tym mówić.

Jay odetchnął z ulgą.

— Moja mama też zmarła trzy lata temu.

Pani Flaherty była wyraźnie poruszona.

— A więc doznaliśmy w życiu podobnej straty. — Spojrzała na doktora Coopera. — Jak miała na imię?

Doktor patrzył jednak w dal wytężonym wzrokiem, tak że przez chwilę pani Flaherty nie była pewna, czy w ogóle usłyszała pytanie. W końcu jednak odpowiedział, lecz głos z trudem wyszedł mu z krtani.

— Katherine.

— Pracowaliśmy wszyscy przy wykopaliskach w Egipcie — zaczął Jay. — Była tam jaskinia...

— Rzadko o tym rozmawiamy — przerwał mu doktor. Jay chciał opowiadać dalej, lecz twarde spojrzenie

ojca, spojrzenie, które znał aż za dobrze, utwierdziło go w przekonaniu, że nie będzie dalszej rozmowy. — Tak — zgodził się łagodnie — rzeczywiście rzadko.

Pani Flaherty bacznie przyglądała się twarzy doktora.

— Rozumiem — powiedziała po chwili.

Doktor Cooper zdawał się jej nie słyszeć. Odwrócił głowę i zawołał przez ramię:

— Jak tam, Dave?

— Patrzcie uważnie — odparł zapytany. — Jeśli się nie mylę, powinniśmy być już na miejscu.

— Tato, chyba to widzę — rzucił Jay.

— Za lewą burtą, Dave — zawołał doktor.

— Zgadza się. To Tukania.



Czerwona zorza poranka błyszczała na niebie, gdy zbliżali się do brzegu. Wyspa ta była większa niż Kurnoe, wyrastały z niej nawet wulkaniczne wzgórza. W wodach przybrzeżnych nie było raf, więc podpłynięcie do wyspy nie nastęrczało większych problemów. Wkrótce znaleźli się na płyciźnie.

— Rejs skończony, dalej płynąć się nie da — oświadczył Dave.
— Jay, możesz mi pomóc?

Jay pomógł Dave'owi opuścić żagle i łódź powoli zatrzymała się niedaleko od brzegu. Dave zarzucił kotwicę. Doktor Cooper uważnie przyjrzał się plaży. Byłoby z niej wspaniałe miejsce na wakacyjny wypoczynek: gładki, biały piasek ciągnął się w obie strony tak daleko, jak tylko sięgał wzrok, palmy leniwie kołysały się na lekkim wietrze, zaś blade światło księżyca błyszczało na powierzchni czystej jak kryształ wody niczym garść srebrnych klejnotów. Była to doprawdy cudowna sceneria... gdyby niejednostajny, tępy, napawający lękiem odgłos, dalekie dudnienie bębnow, które niosło się po wodzie, przywodząc im na myśl wszelkiego rodzaju przerażające sceny.

— Ludożercy? — domyślił się Jay.

— Zgadza się — potwierdził Dave. — Bębny ludu Sutolo. Dobiegają z daleka, prawdopodobnie z drugiego końca wyspy. Jeśli dopisze nam szczęście, to może nas nie zauważą.

— A jeśli ten poławiacz pereł jest jednym z nich? m zastanawiała się pani Flaherty. — Być może trzeba będzie pojawić się w wiosce...

— Na półmisku? — spytał Jay.

— Poczekajcie — przerwał im Dave. — Zdaje się, że mamy jeszcze inne kłopoty.

Patrzył w stronę otwartego morza. Wyraźnie słyszeli dobiegający stamtąd warkot silnika.

— Tam — wskazał doktor. Dave złapał za lornetkę.

— Zbyt ciemno, żeby powiedzieć, jakie mają zamiary: przyjaźielskie, czy też nie. W każdym razie nie widzę, żeby się uśmiechali.

— Jak duża jest łódź?

— Ehem... nie za duża, nie większa niż nasza. Ale ma motor. Jak słychać, chodzi na pełnych obrotach. Spieszy im się do nas.

Doktor Cooper rozejrzył się dokoła, rozważając możliwości dalszego działania.

— Sutolo z jednej strony, obcy z drugiej, a w środku nieznana wyspa...

— Mam na dole parę karabinów — odezwał się Dave. — Lepiej wynieśmy je na pokład.



Lila odpoczywała na wieku drewnianej skrzyni, ponad wodą, w ciepłym, czerwonym świetle rzucanym przez tablicę rozdzielczą tajemniczego urządzenia. Zawarła umowę z samą sobą: koniec z rozpaczą, płaczem i krzykiem. I tak nikt nie mógł jej usłyszeć. Nie, w tej sytuacji był tylko jeden właściwy sposób postępowania — szukać drogi ucieczki. Poza tym nie w stylu Cooperów byłoby tak po prostu się poddać.

Uspokoiła się. Wiedziała już, jak wypełnić ten czas, który być może miał być końcem jej życia. Całą swą uwagę skupiła teraz na kontenerze.

Nadal mogła nim poruszać przez przenoszenie ciężaru ciała w przód i w tył. Zaczęła opukiwać stalową kopułę kluczem w nadziei, że różnice w wysokości dźwięków pozwolą jej się czegoś domyślić. Na ile zdołała się zorientować, górna część była zewsząd zakryta wodą, podczas gdy dolna tkwiła unieruchomiona w morskim dnie. Więc... jeśli udałoby się jej wydostać górą, miałyby prostą drogę na powierzchnię. Jeśli zaś spodziewała się wyjść przez właz, ozna-

czało to konieczność przekopania się przez pokłady skał, koralowców i piasku.

Uznała, że kopanie jest jej jedyną szansą. Miała przecież łom. To mogło się udać.

Mocno przycisnęła maskę tlenową do twarzy, po czym zsunęła się do wody i zanurzyła w poszukiwaniu torby z narzędziami. Już po chwili trzymała ją w rękach. Wyjęła łom.

Podpłynęła do otwartego włazu. Było tam więcej skały i koralowców niż piasku, więc zanosilo się na ciężką robotę. Z całej siły wbiła łom w skalną bryłę. Odleciał tylko jeden mały kawałek. W takim tempie musiałyby kopać dziesięć lat. Wbiła łom w inne miejsce, ale tylko uderzyła się w rękę.

Wytknęła głowę na powierzchnię, by chwilę odpocząć. Tylko bez hysterii, Lila, powtarzała sobie w myślach. Tylko spokojnie.

„A może gniew byłby lepszy?” — pomyślała. „Boże, muszę przecież coś czuć! To ty mnie w to wplątałeś! Jakim jesteś Bogiem, skoro każesz ludziom tak strasznie cierpieć?”

A potem inna myśl przyszła jej do głowy. „Może to wszystko moja wina? Może zgrzeszyłam i sama wpakowałam się do tego samolotu?”

Pomyślała o ojcu i zapadła się w świat wspomnień. Widziała matkę — radosną, kochającą kobietę, która zawsze była blisko, która naprawdę rozumiała wszystkie problemy Lili, która bardzo kochała swego męża i dzieci. A potem ujrzała ojca — milczącego w samotności, zamkniętego w sobie, niechętnie mówiącego o przeszłości.

— Czasem mam chęć go uderzyć! — krzyknęła do Boga. — Przepraszam, Panie, ale tak właśnie się wtedy czuję. Tęsknię za mamą! Strasznie za nią tęsknię i chciałabym, żeby znów była przy mnie.

Powiedziała to wreszcie. Wreszcie wyrzuciła z siebie to, co ciężkim kamieniem leżało jej na sercu. Miała tylko nadzieję, że Bóg nie gniewał się na nią za brak szacunku dla ojca.

— I wiesz, co jeszcze mnie boli, Panie? — odezwała się głośno. — On nigdy o niej nie rozmawia. To znaczy, można by pomyśleć, że ona nie była naszą mamą, albo że nigdy nie byli małżeństwem, albo że w ogóle się nie kochali! Wiesz, co mi się czasami wydaje? Że jemu jest wszystko jedno! Czasem sobie myślę, że on chce o niej po prostu zapomnieć i... nie potrafię tego znieść! To takie chłodne i wyrafinowane! Jay i ja naprawdę ją kochaliśmy!

Lubimy o niej myśleć, lubimy ją wspominać! Ale wiesz, co jeszcze myślę?

Nie powiedziała tego na głos. Było jej wstyd, że w ogóle mogła coś takiego pomyśleć.

Ale pomyślała: „To wszystko przez niego. To przez niego mama nie żyje. To jego вина.”



Obca łódź zbliżała się z dużą szybkością. Dave, doktor Cooper oraz pani Flaherty siedzieli nisko w łodzi i z karabinami w dłoniach obserwowali nieznanym przybyszów.

— To mogą być Amerykanie — odezwał się Dave, patrząc przez lornetkę. — W każdym razie są biali.

— Rosjanie także są biali! — wtrąciła pani Flaherty. Już wkrótce wszystko stało się jasne. W ciągu kilku minut szybka, dziesięciometrowa łódź podpłynęła do łajby Dave'a. Silniki zamilkły.

Na pokładzie znajdowało się dziewięciu mężczyzn, wszyscy z karabinami w rękach. Część z nich ubrana była jak komandosi do akcji w dżungli, reszta zaś — w kombinezony do pracy pod wodą. Wszyscy wyglądali bardzo groźnie. Kiedy dostrzegli karabiny w rękach trojga ludzi siedzących w zagłówce, natychmiast wycelowali w nich broń, by pozbawić obcych wszelkich wątpliwości.

Jeden z nich, najwyraźniej dowódca, stanął na przedzie łodzi i zawołał:

— Dzień dobry.

Mówił z wyraźnym, amerykańskim akcentem.

— Dzień dobry — odpowiedział Dave, po czym dodał: — Az kim mam przyjemność?

— Porucznik Joe Adams, oddział do zadań specjalnych z U. S. S. Findley. Chciałbym się dowiedzieć, kim jesteście.

Dave podał mu rękę, a następnie po kolei przedstawił swoich przyjaciół.

Porucznik Adams od razu przystąpił do sedna sprawy.

— Co was sprowadza na te wody?

— To samo, co zwykle — odrzekł Dave. — I aż do dzisiejszego dnia nikt nas o to nie pytał. Dlaczego jest to dla pana takie ważne?

Adams stał się chłodny i bardzo rzeczowy.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— A pan na moje.

Doktor Cooper postanowił zapobiec niepotrzebnym spięciom.

— Panowie, panowie, może zaczniemy od początku...

— Ależ Jake — przerwał mu Dave. — Nie widzisz, że ten człowiek wtrąca nos w nie swoje sprawy! Nie podoba mi się to!

Doktor Cooper zwrócił się do porucznika.

— Panie poruczniku, czy może nam pan okazać legitymację służbową?

Z dziwnym wyrazem twarzy Adams spojrział na swoich ludzi. Widać nikt go o to wcześniej nie prosił. Zniknął na moment pod pokładem, po czym wrócił z marynarskim workiem, z którego wydobył czarną skórzaną oprawkę. Otworzył ją i podał doktorowi. Była to legitymacja służbowa, kompletna i z aktualnym zdjęciem; bez wątpienia był tym, za kogo się podawał.

Doktor Cooper uśmiechnął się uprzejmie.

— Dziękuję bardzo. Czy jesteśmy oskarżeni o złamanie prawa?

— Nie — odparł Adams.

— Czy ma pan prawo nas aresztować?

— Tak, jeśli znajdę ku temu powód.

— Czy znalazł pan już jakiś?

— Jak dotąd nie.

— Więc porozmawiajmy spokojnie, jak przyjaciele. Albo będziemy sobie pomagać, albo...

— Albo będziemy do siebie strzelać — dokończył Dave.

— Dave... — upomniał go doktor. — Może lepiej zaprosiłbyś pana porucznika na pokład?

Dave zagryzł wargi, lecz jego upór zmiękł pod uspokajającym spojrzeniem doktora.

— No dobrze — odparł. — Ale tylko porucznik... i lepiej, żeby nie próbował żadnych sztuczek.

Porucznik wszedł na pokład i usiadł na wskazanym przez doktora miejscu.

— Do rzeczy — zaczął doktor. — Nie mam zamiaru ukrywać przed panem powodu naszej tu obecności. Szukamy mojej córki. Znajdowała się na pokładzie samolotu Sił Powietrznych, który mógł spaść gdzieś w tej okolicy.

Doktor uważnie przyjrzał się Adamsowi. Twarz porucznika nie zmieniła swego rzeczowego wyrazu, może tylko szczęki zacisnęły się nieco mocniej.

— A skąd wiecie, gdzie szukać? — spytał Adams.

— Nie wiemy niczego na pewno. Głównie kierujemy się nie sprawdzonymi pogłoskami i podejrzeniami. Może pan wie coś więcej na ten temat?

Adams kiwnął głową do swych ludzi, którzy natychmiast wzięli całą czwórkę na cel.

— Powiem panu tylko jedno. Znalazłem wystarczający powód, by aresztować pana za zadawanie pytań, doktorze. Wszyscy zostacie zatrzymani.

Trzej komandosi wskoczyli do żaglówki, by dokonać zatrzymania.

— Proszę oddać broń — rozkazał Adams. Wykonali polecenie, choć nie bez ociągania. Zniecierpliwieni komandosi wyrwali im karabiny z rąk.

— W porządku, wchodźcie do naszej łodzi. Będziemy musieli zabrać was na „Findley”...

— Poruczniku! — krzyknął jeden z ludzi.

Wzrok wszystkich zwrócił się we wskazany przez żołnierza kierunku. Jeszcze jedna łódź zbliżała się w ich kierunku z wielką szybkością.

— Komuniści! — krzyknął Adams. — Na pokład! Szybko!

Doktor Cooper, Jerry, Dave i pani Flaherty, ponaglani i popychani przez komandosów, szybko przeskoczyli do wojskowej łodzi.

— A co z moją łódką?

— Za wolna. Musimy uciekać!

Z rykiem silnika wojskowa łódź skoczyła do przodu, przewracając część pasażerów na pokład. Ostry, stalowy dziób ciął spienione fale.

Strzały! Kule robiły dziury w ścianach łodzi. Adams i jego ludzie padli na pokład z karabinami gotowymi do strzału.

Wybuch! Przerażony Dave obejrzał się za siebie. W mgnieniu oka jego ukochana łódź zamieniła się w ognistą kulę, a następnie rozpadła na setki płonących kawałków. Jedyne, co mu pozostało, to krzyk z wściekłości i rozpacz.

— Mają rakiety — orzekł Adams. — To nie są żarty!

Napastnicy znajdowali się coraz bliżej. Byli to z całą pewnością komunistyczni rebelianci, być może ci z Kurnoe. Ich karabiny wyrzucały z siebie grad pocisków.

Kolejna rakietę wystrzeliła w powietrze; dymiącym ogonem zakreśliła w powietrzu wysoki łuk.

— Uwaga! — wrzasnęła Adams.

Siedzący za sterem marynarz zakręcił łodzią w prawo i lewo, próbując uciec rakiecie z drogi. Wielki, śmiertcionośny pocisk z głośnym wybuchem wpadł do morza. Biały słup wody wzbił się w powietrze.

— Niedobrze — powiedział Adams. — Są szybsi. Złapią nas. — Zdecydowanym głosem wydał swoim ludziom rozkaz: — Otworzyć ogień!

Cała łódź zadrżała od ogłuszającego huku karabinowych wystrzałów. Pociski cięły powietrze niczym rój wściekłych os. W sobie tylko znany sposób Dave znalazł się w posiadaniu karabinu maszynowego i czynnie przyłączył się do obrony.

Kolejna rakietę wybuchła zaledwie parę metrów od nich.

Dwie łodzie gnały po falach błękitnego oceanu, krążąc w szaleńczym pędzie wokół wyspy. Woda cięta cielskimi kadłubów, gradem kul i wybuchami raket rozbryzgiwała się na wszystkie strony tysiącami słonych kropelek.

Nagle nie wiadomo skąd wyrosła przed nimi wielka rafa koralowa. Gdy ją zauważyli, było już za późno. Z niesamowitą siłą wojskowa łódź wpadła na ukrytą przeszkodę i wyskoczyła wysoko w powietrze. W górze łódź przewróciła się do góry dnem i trzynastu ludzi wpadło do oceanu. Sekundę później łódź uderzając o powierzchnię wody z trzaskiem przełamała się na pół.

Doktor wynurzył głowę na powierzchnię. Łapczywie chwycił powietrze, rozglądając się za synem.

— Tato! — rozległo się wołanie.

— Jay! — odpowiedział doktor.

Zaczęli płynąć ku sobie. Inni także próbowali się odnaleźć wśród fal oceanu.

— Doktorze! — rozległ się głos Dave'a. — Nic panu nie jest?

— Tutaj, tutaj! — krzyknął doktor.

Łódź rebeliantów zwolniła, by ostrożnie opłynąć rafę, po czym wpłynęła pomiędzy szamoczących się w wodzie rozbitków. Jej kadłub został mocno pokancerowany przez pociski komandosów, lecz mimo to nadal unosiła się na wodzie. Doktor Cooper rozpoznał część ludzi stojących na pokładzie — widział ich już raz na Kurnoe. Z niektórymi nawet zdarzyło mu się walczyć podczas bójki w sklepie.

Tym jednak razem to oni byli zwycięzcami. Ze złowieszczymi uśmiechami patrzyli na bezradnie pływających Amerykanów. Jednego po drugim, wyciągano jeńców z wody. Pościg był skończony.

W potrzasku

Stawianie oporu nie miało najmniejszego sensu. Rebelianci mieli ich w rękę i nawet wypalili parę salw w powietrze dla podkreślenia tego faktu. Komandosi zostali natychmiast rozbrojeni. Z rękami na karku stali teraz pod lufami karabinów, przemoczeni do suchej nitki. Potężny mężczyzna z obnażonym torsem wyciągnął Jaya z wody niczym rybę i bez najmniejszej delikatności rzucił na pokład. Pani Flaherty nie potraktowano wcale lepiej, mimo że była kobietą. Co gorsza, kilku rebeliantów rozpoznało w niej starą handlarkę, która tak dotkliwie z nich zadrwiła. W ich oczach ujrzała wyraźnie chęć wyrównania porachunków. Gdy na pokład wciągnięto doktora Coopera, pani Flaherty schroniła się u jego boku, co zdawało się skutkować. Rebelianci zostawili ją w spokoju, przynajmniej na jakiś czas.

Komunistom pozostało jeszcze schwytać Złego Da-ve'a, który natychmiast po wypadnięciu z łodzi zaczął płynąć w stronę wyspy. Nim rebelianci zdążyli wyciągnąć wszystkich rozbitków na pokład, on znajdował się już w połowie drogi do brzegu.

Na niewiele się to jednak zdało. Wypełniona po brzegi łódź powoli podpłynęła do brzegu. Kilku rebeliantów wskoczyło do płytkiej wody, by tam uformować komitet powitalny, który zaopiekował się Dave'em.

Mając na pokładzie komplet jeńców, dowódca rebeliantów włączył krótkofalówkę i przekazał jakiś meldunek.

Zły Dave wyjaśnił doktorowi znaczenie słów dowódcy.

— Połączył się właśnie ze swoim szefem i powiedział mu o nas. Zdaje się, że szef ma zamiar się tu zjawić, żeby ujrzyć nas na własne oczy.

Tylko tyle zdążył powiedzieć, w tym bowiem momencie strażnik chwycił go za włosy i krzyknął coś z wściekłością. Doktor Cooper nie rozumiał ani słowa, rozkaz był jednak jasny: należało trzymać język za zębami.

Czekali więc w milczeniu, ściśnięci w rebelianckiej łodzi zakotwiczonej u wybrzeży wyspy. Słońce prażyło niemiłosiernie. Minęła godzina, potem druga. Ubrania mieli lepkie od soli, włosy mokre i pozlepiane. Starali się zachowywać spokojnie. Natomiast ich nadzorcy z każdą minutą stawali się coraz bardziej nerwowi.

Wtem któryś z rebeliantów dostrzegł coś w oddali i krzyknął do innych. Po chwili wszyscy zaczęli się śmiać i rozmawiać z ożywieniem.

Jeńcy powoli odwrócili głowy, by zobaczyć, co sprawiło rebeliantom taką radość. Oto ku wyspie zbliżał się lśniący, śnieżnobiały jacht imponującej wprost wielkości.

Pani Flaherty zorientowała się, że rebelianci są zbyt zajęci sobą, by usłyszeć jej szept, więc odezwała się do przyjaciół:

— Nadchodzi sowiecki lalkarz, człowiek, który pociąga za sznurki.

— I napełnia kieszenie — dodał Dave.

Z dudnieniem wielkich silników i dwiema bliźniaczo podobnymi smugami dymu wydostającymi się z dwóch kominów jacht podpłynął do wyspy. Z tej odległości zdawał się jeszcze większy. Łódź rebeliantów wypłynęła mu na spotkanie. Wyglądała przy nim jak zabawka. Załoga jachtu składała się w większości z Polinezyjczyków i Filipińczyków, nie było jednak najmniejszej wątpliwości co do narodowości kapitana — postawnego mężczyzny o wyprostowanej sylwetce, który pojawił się na mostku.

— Rosjanin — odezwał się Dave.

— Wielki Brat we własnej osobie — dodał doktor Cooper. Rosjanin z lekceważeniem popatrzył na zamoczonych pasażerów łodzi i uśmiechnął się złowieszczo. Potem zadał przywódcy rebeliantów jakieś pytanie po filipińsku.

— Chce wiedzieć, którzy z nas są przywódcami — powiedział Dave.

Dowódca rebeliantów wskazał na porucznika Adamsa i doktora Coopera.

Rosjanin rzucił jakiś rozkaz, po którym rebelianci natychmiast chwycili za ramiona pięciu jeńców: doktora Coopera, Adamsa, panią Flaherty, Dave'a oraz Jaya. Jeden z marynarzy spuścił z jachtu drabinę, po której wepchnięto wskazaną piątkę. Na pokładzie czekało już na nich paru innych uzbrojonych strażników. Zaprowadzili ich na rufę, gdzie mogli usiąść na wygodnych krzesłach pod chroniącą od słońca wielką markizą.

Rosyjski dowódca przyglądał im się zimnymi, błękitnymi oczami.

— Nazywam się Michaił Iwanowicz — odezwał się po chwili — Jestem oficerem KGB. Z kim mam przyjemność?

— Porucznik Joe Adams, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych, numer służbowy...

— Starczy, poruczniku, starczy — przerwał mu Iwanowicz. — Resztę wiem. — Spojrzał na doktora Coopera. — A pan?

Doktor Cooper przedstawił siebie oraz pozostałą trójkę.

— Co więc robicie w towarzystwie oficera wojska amerykańskiego?

Doktor Cooper odpowiedział prosto:

— Aresztował nas.

— Aha, ale to wy jesteście tymi Amerykanami, którzy odwiedzili ostatnio wyspę Kurnoe, zgadza się?

Doktor Cooper zachował milczenie. Iwanowicz nie przejął się tym zbytnio.

— Zdaje się, że w sklepie była niezła bójka... po zawodach w zjadaniu ślimaków, co? — Zaśmiał się i przeniósł wzrok na panią Flaherty. — A to jest zapewne stara handlarka, hmm? — Uśmiechnął się do Jaya. — A to ów młody śmiałek, o którym tak wiele mi opowiadało. — Spojrzał na nich wszystkich z góry i oświadczył:

— Niezły połów. Całkiem udany dzień, całkiem udany dzień...

Zadowolony, rozparł się wygodnie w fotelu naprzeciwko piątki jeńców.

— Poruczniku Adams — odezwał się po chwili — chyba zdążył już pan powiedzieć swoim przyjaciołom, o co w tej całej ekscytującej grze chodzi?

— Jestem porucznik Joe Adams, Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych, numer służbowy...

— W porządku, sam im to powiem. Doktorze Cooper, o ile mi wiadomo, poszukuje pan pewnego amerykańskiego samolotu, prawda? C-141, Amerykańskich Sił Powietrznych?

Doktor nie odpowiedział. Iwanowicz ciągnął dalej.

— My również, co nie powinno zresztą dziwić. Pozwoli pan jednak, że wytłumaczę dlaczego, a potem porucznik Adams będzie mógł potwierdzić lub zakwestionować prawdziwość moich słów. Być może pamięta pan, panie doktorze, potężną eksplozję, wielką, ognistą kulę, która jakiś czas temu zabłysła nad Japonią, Chinami i w ogóle całym Dalekim Wschodem. Pisali o tym w gazetach. Pamięta pan?

— Tak, czytałem — przyznał doktor.

— To bardzo dobrze. Wytłumaczę teraz panu, co tak naprawdę się wtedy stało. Widzi pan, to wcale nie był meteor, który spalił się w atmosferze, jak chciała tego prasa. Nie, eksplozja ta została wywołana przez ludzi. Była to próba naziemnego lasera antysatelitarnego o niewyobrażalnej wprost sile rażenia, broni przeznaczonej do niszczenia wrogich satelitów i pocisków balistycznych. Próba, jak może się pan domyślić, zakończyła się pełnym sukcesem. Laser potrafił całkowicie zniszczyć duży obiekt poruszający się po orbicie jakieś siedemset kilometrów od ziemi. Broń o takiej precyzji i sile dałaby Stanom Zjednoczonym ogromną przewagę nad rosyjskimi systemami obrony strategicznej.

— W każdym razie żadna przeprowadzona w kosmosie próba, która kończy się tak wspaniałym wybuchem, choćby nie wiem jak tajna, nie może zbyt długo pozostać w całkowitej tajemnicy. Tak też było i tym razem. Mój rząd dowiedział się o tajnej broni, postanowił ją mieć, więc wysłał mnie w celu pozyskania lasera, oczywiście w sposób możliwie dyskretny, bez mieszania w to bezpośrednio sił radzieckich. Nie spodobałoby się to światu, sam pan wie.

— Mój plan polegał więc na wynajęciu kogoś, kto wykonałby całą robotę za nas. Ci oto szlachetni obrońcy uciśnionych, ci bojownicy o wolność Filipin, aż palili się do tego zadania. Oczywiście nie za darmo. Placimy im za ich usługi sowiecie, zarówno w gotówce, jak i w broni, której używają w walce o swe własne cele. Tym sposobem obie strony dostają to, czego chcą.

Iwanowicz zwrócił się do Adamsa i spytał:

— Czy jak dotąd zgadza się pan ze mną? Adams nie odpowiedział ani słowem. Iwanowicz był pod wrażeniem.

— Jest pan niezwykle lojalnym obywatelem swojego kraju, poruczniku Adams. Na szczęście dla nas, dwaj ludzie z załogi tego samolotu, Max Baker i Al Reed, nie byli tak lojalni, czy raczej zdołaliśmy kupić ich lojalność. Jak łatwo zgadnąć, na pokładzie samolotu znajdował się wspomniany wcześniej laser, w drodze do Stanów Zjednoczonych w celu dokonania dalszych prób i ulepszeń. Pojrzanie samolotu było planem prostym i logicznym. Wszystko szło jak z płatka... do czasu.

Iwanowicz oparł się na krześle i westchnął.

— I dlatego wszyscy się tu teraz spotykamy, prawda? Samolot wraz ze swym cennym ładunkiem, miał wylądować na przebudowanym pasie na wyspie Kurnoe, laser miał być przeladowany do samolotu rosyjskiego i wywieziony, C-141 miał zostać zatopiony w morzu... Ach, cóż to był za plan. Wszystko szło tak łatwo, tak gładko.

Iwanowicz zamyślił się przez chwilę nad planem, który się nie powiódł, po czym podsumował swój długi wywód.

— Zamiast tego samolot zniknął, a my wszyscy spotykamy się w wyścigu po zaginiony laser, którego zwycięzca zabiera całość.

Rosjanin nachylił się do doktora Coopera i świdrującym wzrokiem spojrzał mu prosto w oczy.

— Wracając jednak do pana, panie doktorze, oraz pańskich towarzyszy, chłopaka i handlarki. Macie jakieś informacje, prawda?

Doktor Cooper uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Panie Iwanowicz, sam pan nie wie, jak bardzo chciałbym je mieć.

Iwanowicz nie ustępował.

— Ależ pan je ma, doktorze Cooper. Jestem tego pewien. Ten tu bylec w sklepie na Kurnoe, ten biedak, który nie potrafił wepchnąć w siebie tych wszystkich ślimaków... Dał panu medalion, prawda?

— Coś pan chyba pokręcił.

— I jeszcze powiedział panu, gdzie go znalazł, prawda? Powiedział panu, gdzie szukać zaginionego samolotu.

— Piękne, ale niestety nieprawdziwe.

— To dlatego w takim pośpiechu opuścił pan wyspę

jeszcze tej samej nocy. Postanowił pan natychmiast przyplłynąć

tutaj, by odnaleźć zgubą. A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie jest samolot? Gdzie miał pan zamiar szukać'?

— Dlaczego nie spytał pan o to tego tubylca? Iwanowicz wyprostował się.

— Pytaliśmy. Niestety, umarł okrutną śmiercią z rąk przesłuchujących, zanim zdecydował się cokolwiek nam powiedzieć. — Gwałtownie nachylił nad doktorem i wykrzyczał następne zdanie prosto w jego twarz.

— I pana także to czeka, doktorze, jeśli nie powie nam pan wszystkiego, co pan wie!



Wyczerpana Lila siedziała po szyję w mętnej, mulistej wodzie morskiej. Powoli zaczynała godzić się z faktem, że nigdy już nie będzie jej dane wydostać się z uwięzionego w oceanie kontenera. Przez długie godziny kopała w morskim dnie, które tarasowało jej drogę na zewnątrz, lecz w gruncie rzeczy zużyła tylko sporo cennego tlenu z butli oraz zmąciła wodę wypełniającą dno kontenera.

Powoli, z wielkim trudem wdrapała się na wieko wielkiej drewnianej skrzyni. Położyła się tam bez ruchu, pogodzona z myślą, że kolejna próba skończyła się fiaskiem.

— Boże — powiedziała głośno — ciekawe, czy w ogóle ktoś wie, że tu jestem. Oczywiście, Ty wiesz, ale... kto jeszcze? No bo siedzę tu zupełnie sama ze swoim problemem i nie wiem nawet, czy ktoś na zewnątrz wie, co się stało, czy kogoś w ogóle to obchodzi. Właściwie nie mam nawet pewności, czy Ciebie to obchodzi!

Bóg zdawał się jej nie słyszeć. „A może ma już dość mojego ciągłego płaczu?” pomyślała smutno.

— Panie... jedyne czego chcę, to wydostać się z tego więzienia. Czy tego nie widzisz?

To ostatnie pytanie przeniosło ją w świat wspomnień. Lila zamilkła, pozwalając pamięci po raz kolejny odegrać sceny z przeszłości.

„On jest więźniem, Lila, więźniem swoich własnych uczuć” — powiedziała kiedyś matka. Pamiętała to miejsce, ten dzień: cichy park w Anglii, zielone trawniki, wielki staw z łabędziami, płaczące

wierzby drżące na lekkim wietrze. Lila miała wtedy dziewięć, może dziesięć lat. Płakała. Siedziały obie na ławce, a matka otaczała ją ramieniem, pocieszała. Matka była piękna; słońce połyskiwało w jej długich, złotych włosach.

— Czasem — tłumaczyła matka — ludzie stają się twardzi na zewnątrz, bo gdzieś głęboko w środku czują się zranieni. Nie chcą więcej ran, więc zamykają się jak w muszli.

Lila pamiętała to bardzo dokładnie. Leżała teraz w przyćmionym, czerwonym świetle lampek sygnalizacyjnych i nieobecny oczyma oglądała wspomnienie z dzieciństwa jak wyświetlany w kinie film.

Potem matka powiedziała coś takiego: „On nie chciał być na ciebie zły, naprawdę nie chciał. Musisz zrozumieć ojca. Zawsze, kiedy coś go zabol, ztraca się w tym, co akurat robi, i musi minąć jakiś czas, zanim się odnajdzie. Rozumiesz?”

Lila próbowała sobie przypomnieć, czy wtedy rozumiała. Zdaje się, że nie. O ile dobrze pamiętała, tamtego dnia była zła na ojca, miała do niego o coś żal. Tylko o co?

Och, jasne. Przypomniała sobie. Chciała, żeby zabrał ją do parku, ale on powiedział, że nie może. Zdawał się czymś rozdrażniony, więc Lila pomyślała, że to z jej powodu, i...

Lila skrzywiła się. Och, oczywiście. To było wtedy, gdy uniwersytet obniżył mu fundusze, bo w swych pracach zbyt poważnie traktował Biblię. Nic dziwnego, że był rozeźlony.

Lila wsłuchiwała się w swoje myśli: Poczul się dotknięty, lecz ja tego nie widziałam. Myślałam tylko o tym, że zachował się w stosunku do mnie nieuprzejmie. Myślałam, że jestem mu obojętna.

Zrozumiała.

— Boże, to Ty, prawda? To ty przypominasz mi to wszystko! Pomóż mi, Boże. Pomóż mi usłyszeć to, co do mnie mówisz.

Jej własne słowa wróciły do niej niczym echo odbite od ściany: Boże, jedyne czego chcę, to wydostać się z tego więzienia... Siedzę tu zupełnie sama ze swoim problemem i nie wiem nawet, czy ktoś na zewnątrz wie, co się stało, czy kogoś w ogóle to obchodzi...

Zastanowiła się nad tymi słowami i przyszło jej do głowy, że odnoszą się nie tylko do niej... Równie dobrze mogły się odnosić do ojca. Czy on też cierpiał? Czy ktoś o tym wiedział i czy kogoś to obchodziło? Czy ją to obchodziło?



— Panie — odezwała się — czy dlatego on nie chce o niej mówić?

Doktor Cooper nie ugiął się pod twardym spojrzeniem sowieckiego agenta. — Panie Iwanowicz — powiedział — jest pan wysokim oficerem sowieckiego wywiadu, dysponuje pan ludźmi, sprzętem, nowoczesną techniką, bronią, wszystkim, czego tylko pan zapragnie. Czegóż więc jeszcze może pan chcieć od nas?

Porucznik Adams nie wytrzymał.

— Cooper, niech pan nie rozmawia z tym człowiekiem! To wróg!

— Cisza! — wrzasnął Iwanowicz. — Doktor Cooper mądrze robi, rozmawiając ze mną. W ten sposób może ocalić nie tylko swoje, lecz również pańskie życie.

Adams nie ustępował.

— Laser jest własnością rządu Stanów Zjednoczonych. Nie możemy pozwolić, by Sowieci go nam ukradli!

— Nie przybyłem tu z powodu lasera — odparł doktor. — Szukam córki.

Iwanowicz uniósł brwi.

— Córki?

— Była na pokładzie tego samolotu. Ja i moi przyjaciele przybyliśmy tu tylko po to, żeby ją odnaleźć. Nie wiemy nic o żadnym laserze.

Iwanowicz uśmiechnął się z przekąsem.

— Doktorze Cooper, dobrze wiemy, że żadnego cywilnego pasażera w tym samolocie nie było.

— Owszem, był. Lila znalazła się tam w ostatniej chwili. Nie zdążyliście się już o tym dowiedzieć.

Iwanowicz parsknął śmiechem.

— Tak, tak, doktorze, oczywiście! Oto dwie największe potęgi świata rywalizują ze sobą w poszukiwaniach najnowocześniejszej broni, jaka powstała w erze atomowej, broni, która na dziesiątki lat dałaby jednemu narodowi przewagę nad wszystkimi innymi, a pan mi mówi, że szuka pan dziecka? Naprawdę pan chce, żebym w to uwierzył?

— Ale to prawda! — wyrwał się Jay. Iwanowicz roześmiał się.

— To dopiero! Mówimy o władzy, o czystej, brutalnej sile, najnowocześniejszej broni taktycznej w historii! Życie jednostki znaczy przy tym tyle co nic!

Jay zerwał się na równe nogi.

— Życie mojej siostry znaczy bardzo wiele! Bóg ją kocha i my ją kochamy. Jest w niebezpieczeństwie, a to znaczy, że musimy ją odnaleźć, uratować. Ale wy dwaj nie potraficie myśleć o niczym innym, tylko o tym głupim laserze, jeszcze jednej maszynie do zabijania ludzi!

Iwanowicz uśmiechnął się i odpowiedział:

— Młody człowieku, to wszystko dlatego, że interes państwa wielu ludzi, a więc Rosji, to coś o wiele ważniejszego od życia jednostki, czyli twojej siostry.

— Myli się pan!

Iwanowicz spojrział na doktora z ogniem w oczach.

— Pozwala pan swemu synowi na taki brak szacunku? Odpowiedź doktora zabrzmiała stanowczo.

— Zawsze uczyłem mego syna, by szanował starszych... ale także, by mówił prawdę.

Iwanowicz pokiwał głową. W jego oczach pojawiła się diabelska przebiegłość. Przez chwilę uważnie przyglądał się chłopcu.

— Lubi mówić prawdę, tak? A pan uważa, że ludzkie życie nie ma ceny? Bardzo dobrze. Zaraz się przekonamy, jak mocno wierzy pan w swoje słowa.

Jay nie próbował nawet stawiać oporu dwóm osiłkom, którzy grubymi linami przywiązywali go do skał. Fale przyplywu rozbijały się na skałach na wysokości pasa chłopca. Mężczyźni zacisnęli liny na ciele Jaya i ruszyli w stronę brzegu.

Pięciu rebeliantów pod dowództwem Iwanowicza dopilnowało, by doktor Cooper, pani Flaherty, Dave oraz porucznik Adams mogli z pobliskiej plaży przyglądać się wszystkiemu dokładnie.

— To kwestia paru godzin — powiedział Iwanowicz. — Fale zmuszą go do rozmyślań nad wartością jego własnego życia. Ocean będzie się podnosił, aż wreszcie zakryje go całkowicie, a wtedy... no cóż, wtedy chłopak utonie. Być może jednak do tego nie dojdzie, oczywiście pod warunkiem, że któreś z was zmieni zdanie i postanowi powiedzieć mi to, co chcę wiedzieć.

— Nie mówcie mu nic — odezwał się Adams. Doktor Cooper z rozdartym sercem patrzył jak coraz wyższe fale obmywają ciało jego syna.

Wybawienie

Bang! Kamień odbił się od głowy rebelianta. Mężczyzna osunął się na ziemię.

Dwaj inni strażnicy krzyknęli z bólu trafieni w szyję małymi, pie-rzastymi lotkami.

Uderzony kamieniem porucznik Adams upadł nieprzytomny twarzą w piasek.

Doktor Cooper, pani Flaherty, Dave oraz Iwanowicz odruchowo rzucili się na ziemię. Czterej pozostali na placu boju strażnicy nie poszli za ich przykładem, lecz skierowali karabiny w stronę dżungli.

Znowu mignęły dwie następne lotki. W chwilę potem w powietrzu przeleciał kolejny kamień. Trzech strażników osunęło się na ziemię. Ostatni, siódmy, zdążył jeszcze wystrzelić parę pocisków, zanim upadł trafiony i lotką i kamieniem.

Wszystko odbyło się tak szybko i cicho, że nim ktokolwiek zdążył się zorientować, było już po wszystkim. Z pobliskich traw i krzaków wyległa na plażę zgraja półnagich dzikusów. Odziani jedynie w spódniczki z trawy oraz naszyjniki z muszli, uzbrojeni w rury do wydmuchiwania lotek, wielkie proce i długie włócznie wyglądali naprawdę groźnie. Było ich przynajmniej trzydziestu, więc pojmanie grupki obcych nie nastęczało im wielkich trudności.

Pozbawiony obstawy Iwanowicz sprawiał wrażenie całkiem bezradnego. Dave natychmiast zauważył jego zaniepokojenie.

— Hej, Iwanowicz, a ile warte jest twoje życie? To są Sutolo. Oni zjadają Rosjan!

Iwanowiczowi nie było do śmiechu. Próbował dobiec do szalupy, którą wcześniej przybyli, lecz dwaj rośli wojownicy okazali się szyb-

si. Rosjanin został przyniesiony z powrotem na miejsce. Szaipał się, lecz niewiele mógł zdziałać wobec stanowczości tubylców.

Inni wojownicy siłą zmusili doktora, panią Flaherty oraz Dave'a do powstania.

— Dave — odezwał się doktor — mówisz ich językiem?

— Mhm... „Mem bay goonai techam.” No i co, nieźle?

— Co to znaczy?

— „Poproszę o sól”, jeśli się nie mylę. Lingwistyczne popisy Dave'a nie wywarły na dzikich

żadnego wrażenia. Dwaj wojownicy, prawdopodobnie wodzowie, przewrócili bezwładne ciała rebeliantów na plecy, dokładnie obejrzelili każde z nich, a potem zaczęli coś do siebie mruzczeć, kiwając przy tym głowami.

— Co oni robią? — spytał Iwanowicz drżącym głosem.

— Decydują, kogo zjeść na obiad — odparł Dave. — Mam nadzieję, że wybiorą ciebie!

— Żartujesz chyba!

— To się jeszcze okaże, to się jeszcze okaże! Porucznik Adams nie spodobał się dwóm Sutolo. Minęli go obojętnie.

Następna w kolejce była pani Flaherty. Twarze dzikich rozjaśniły się promiennym uśmiechem, gdy ze znanstwem szczykali ją w ramiona i omawiali jej zalety smakowe. Z zadowoleniem kiwali do siebie głowami.

— Tego właśnie się bałem — powiedział Dave.

— Czy to komplement? — odparła pani Flaherty. Na dany przez wodzów znak została odsunięta na bok.

Następny był Dave. Mimo początkowych wątpliwości, wodzowie postanowili postawić Dave'a obok pani Flaherty.

Doktor Cooper spojrział na Iwanowicza i powiedział:

— Kolej na mnie albo na pana, albo na nas obu. Dwaj „inspektory” stanęli przed Iwanowiczem. Jeden

z nich uszczypnął go w policzek. Iwanowicz czuł się wyraźnie upokorzony. Wojownicy mruzczeni coś do siebie tonem wyraźniej zachęty.

— Poczekajcie! — krzyknął Iwanowicz. — Poczekajcie, możemy ubić interes!

Dwaj tubylcy popatrzyli najpierw na siebie, a potem na Iwanowicza. Nie rozumieli.

Iwanowicz zmagął się przez chwilę z trzymającymi go za ręce strażnikami. W końcu udało mu się podwinąć rękaw koszuli.

— Patrzcie! Patrzcie na to! — Wyprostował rękę i pokazał im złoty zegarek. — Weźcie to! Weźcie zegarek zamiast mnie!

Wojownicy popatrzyli na zegarek, lecz nie sprawiali wrażenia zainteresowanych.

Wtedy Iwanowicz wpadł na inny pomysł.

— Tam! — Wskazał palcem w stronę morza. — Mam dla was chłopaka! Młodego, smacznego chłopaka! Widzicie tam?

Wodzowie spojrzeli we wskazanym kierunku, gdzie wśród fal rozpaczliwie walczył o życie Jay.

— Weźcie zegarek i jego! Umowa stoi?

Wojownicy wybełkotali coś do siebie, spojrzeli na Iwanowicza, a potem na Jaya. Zastanawiali się.

W końcu kiwnęli głowami. Iwanowicz został uwolniony. Wojownicy wzięli zegarek, odsuwając jego właściciela na bok jako rzecz nie nadającą się do spożycia. Był wyraźnie zadowolony z ich decyzji.

Bez dłuższego zastanowienia wojownicy włączyli doktora Coopera do grupy potraw. To także ucieszyło Rosjanina, który czym prędzej udał się do łodzi.

— Musimy się rozstać, moi przyjaciele z Ameryki — rzucił na pożegnanie. — Udało wam się ukryć przede mną wasze tajemnice, lecz, jak sądzę, wypadliście z wyścigu po laser. Cieszy mnie to niezmiernie. Wybaczcie, że opuszczam was tak pośpiesznie. Obawiam się jednak, że gospodarze szykują się do obiadu, a nie chciałbym im przeszkadzać. Żegnajcie.

Iwanowicz wdrapał się do szalupy, odbił od brzegu i włączył silnik. Odplynął, nie troszcząc się o ciała swych ludzi.

Zadowoleni ze zdobyczy tubylcy poprowadzili doktora, Jaya, panią Flaherty oraz Dave'a w stronę dżungli. Kiedy weszli na leśną ścieżkę, wojownicy pozwolili czwórce jeńców iść swobodnie pomiędzy nimi. Szli więc razem poprzez gęstą dżunglę na drugi koniec wyspy. Bębny plemienia Sutolo rozbrzmiewały w oddali jednostajnym, miarowym dudnieniem.

Jay był przemoknięty i zziębnięty, miał nadzieję, że marsz nieco go rozgrzeje. Doktor Cooper szedł tuż przed nim pomiędzy dwoma wodzami. Chłopiec uważnie obserwował ruchy ojca w oczekiwa-

niu jakiegoś znaku, jakiejś wskazówki co do możliwych sposobów oswobodzenia. Jak dotąd jednak ucieczka wydawała się niemożliwa.

Nagle zaskoczony Jay poczuł, że ktoś zarzucił mu na ramiona coś miękkiego. To groźnie wyglądający wojownik, potężny mężczyzna z kością w nosie, pomógł mu owinać się kocem.

Dwaj wysocy mężczyźni eskortujący doktora rozmawiali o czymś z przejęciem. W pewnej chwili jeden z nich, barczysty łysielec, wyciągnął rękę, by przyjrzeć się złotemu zegarkowi Iwanowicza. Drugi, włochaty młodzieniec o niekompletnym uzębieniu, zaśmiał się z zadowoleniem. Łysy był jednak czymś zmartwiony. Zdjął zegarek z ręki i zaczął przy nim majstrować. Potem obaj mężczyźni zaczęli przekazywać sobie zegarek z rąk do rąk, mamrocząc i mrużąc przy tym w niezrozumiałym języku. Pewnie nie mogli dojść do zgody co do przeznaczenia tajemniczego przedmiotu. Obracali nim na wszystkie strony, potrząsali, przystawiali sobie do uszu, lecz nie mogli dojść do porozumienia.

Wreszcie włochaty wskazał na doktora palcem i spytał:

— Wiesz, jak to nastawić?

Doktor nie wierzył własnym uszom. W milczeniu patrzył na wojownika wielkimi ze zdziwienia oczami.

— Mówisz chyba po angielsku? — spytał tamten.

— No... tak — wykrztusił w końcu doktor. Wojownik podał mu zegarek.

— Jesteśmy w innej strefie czasowej, godzinę do przodu.

— O! — Doktor tylko tyle potrafił powiedzieć. Potem obejrzał zegarek i postanowił wytłumaczyć im jego działanie. — To zegarek elektroniczny, na baterie. Zęby go ustawić, należy nacisnąć te małe guziki tutaj...

Opowiedział im wszystko po kolei, zadowolony, że może im pomóc. Najważniejsze jednak było to, że się ze sobą porozumiewali.

Jay, który podsłuchiwał całą tę rozmowę, rzucił ukradkowe spojrzenie na wojownika, który okrył go kocem.

— Ciepło ci? — spytał tubylec.

— Tak. Dziękuję bardzo.

Ścieżka powoli opadała ku drugiemu końcowi wyspy. W pewnej chwili wyszli z dżungli wprost na rozległą wieś złożoną z wielu słomianych chat. Dźwięk bębnow stał się głośniejszy i wyraźny. Jeńcy ujrze-

li grupę mężczyzn, którzy siedzieli wokół wielkiego ogniska pośrodku wsi i z radosnym śpiewem na ustach walili w bębny. Całe plemię, od wojowników po matki z dziećmi, zebrało się wokół ogniska. Oni także śpiewali, śmiali się i cieszyli. Młody chłopak na brzegu grupy dostrzegł powracających z wyprawy wojowników. Głośnym krzykiem obwieścił to swoim współplemieńcom. Oczy wszystkich zebranych zwróciły się w stronę przybyszów. Bicie bębnow zamilkło. Rozległy się pełne podniecenia okrzyki i śmiechy.

Doktor Cooper i jego przyjaciele wstrzymali oddech, niepewni, czego się spodziewać, czy radość tych ludzi płynęła z ich gościnności... czy też z głodu?

Tłum otoczył ich zwartym kręgiem. Wojownicy wymachiwali długimi włóczniami w geście zwycięstwa.

Ci najbliższej stojący wyciągali duże, brązowe ręce w stronę pani Flaherty. W pierwszej chwili odsunęła się z przestrachem. Potem jednak spostrzegła, że nie mają wobec niej złych zamiarów. Ostrożnie wyciągnęła do nich dłonie. Uścisnęli ją po kolei w geście powitania.

Właśnie wtedy zza pleców tłumu dobiegł znany jejcom głos:

— W porządku, w porządku, pozwólcie mi przejść! Tłum rozstąpił się, ustępując drogi rubasznemu, pucułowatemu mężczyźnie w spódniczce ze słomy i szerokim słomianym kapeluszu.

Zły Dave wykrzyknął pierwszy jego imię.

— Jerry! Ojciec Jerry Garrison! Co ty tu robisz? Jerry Garrison, misjonarz z wyspy Kurnoe, z szerokim uśmiechem na twarzy podszedł do pojmanych.

— Och, przypląnąłem tu własną łodzią. Opuściłem Kurnoe godzinę po was. Przedtem jednak położyłem kukły w naszych łózkach, żeby zająć czymś rebeliantów na pewien czas.

Doktor Cooper uścisnął mu dłoń.

— Rozumiem, że nie zostaniemy zjedzeni? Jerry zaśmiał się głośno.

— Och, nie oczywiście, że nie, żadne... żadne z was czworga. — Przyjrzał im się po kolei, po czym zwrócił się do wodzów.

— Suktay, Zebu! Przecież powiedziałem, żebyście przyprowadzili pięcioro ludzi. Gdzie jest ten facet?

Suktay i Zebu popatrzyli na siebie z zakłopotaniem.

— To jedyni dobrzy ludzie, jakich tam widzieliśmy. Reszta to bandyci, którzy zabijają.

— Nie — odparł Jerry. — Ten facet nie był zły. Tylko tak wyglądał. Miał na sobie mundur, tak? W kolorze liści?

Obaj pokiwali głowami.

— Myśleliśmy, że jest zły. Walnęliśmy go w głowę.

— Co? — krzyknął Jerry. — Nie to mieliście zrobić! To był przyjaciel, facet z marynarki wojennej. Wracajcie po niego natychmiast. Tylko szybko, zanim komuniści się ockną.

Suktay i Zebu zebrali niewielką grupę ludzi i ruszyli z powrotem w stronę dżungli.

— Aha, Zebu! — krzyknął Jerry. Wojownik odwrócił się z pytającym spojrzeniem. — Ładny masz zegarek!

— Rosyjski! — zawołał Zebu. — Na baterie! Wojownicy zniknęli w gąszczu dżungli.

— No dobra — krzyknął Jerry. — Nabożeństwo skończone. Siadajcie do kolacji. — Powtórzył po sutolsku.

Ludzie rozeszli się do chat. Wojownicy uściśniły dłonie swym niedawnym jeńcom i także poszli do domu.

— Chodźcie za mną — powiedział Jerry i poprowadził ich przez wieś. — Nie martwcie się o waszego przyjaciela z marynarki wojennej. Kazałem chłopcom uważać z tymi procami. Ci faceci będą w najgorszym wypadku mieli niezły ból głowy, z wyjątkiem tych trafionych lotkami. Był w nich środek usypiający. Obudzą się za jakąś godzinę, może dwie, ale będą tak oglupiali, że nie powinni nas niepokoić aż do końca dnia.

— Widzę, że prowadzi pan ożywioną pracę misyjną pośród tubylców — zauważył doktor.

— Och, oczywiście, znają mnie od lat.

— To jak to jest — dopytywał się Dave — oni naprawdę są kaniibalami, czy to był tylko żart?

— Nie, to nie żart. Nie udało mi się jeszcze nawrócić wszystkich mieszkańców wyspy, więc nie byłem pewien, jak postąpią wobec obcych. Nie wiedziałem, kiedy uda mi się tu dotrzeć, żeby im powiedzieć, że jesteście moimi przyjaciółmi, więc wołałem wzbudzić w was ostrożność.

— Szubrawiec z pana, ojciec Garrison! — odezwała się pani Flaherty.

— Ocaliłem wasze głowy, nieprawdaż? Komuniści ostro się za

was wzięli. Dlatego powiedziałem wojownikom, żeby postarali się o naprawdę przekonujące przedstawienie.

— Mnie to rzeczywiście przekonało — odparł Jay.

— Iwanowicza także — dodał doktor. — Był szczęśliwy, że może nas zostawić i uciec.

— A co z komandosami?

— Iwanowicz i rebelianci mają ich w swoich rękach.

— No cóż... pozostaje nam się modlić, by Najwyższy pomógł im się z tego wydostać. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

Jerry zaprowadził ich do małej słomianej chaty na balach stojącej w samym centrum wsi.

— To moja chata. Może nie wygląda imponująco, ale jest moją twierdzą, to znaczy, chciałem powiedzieć, plebanią.

Po stromych schodkach wspięli się do środka. W środku było niewiele wygod: prycze, mały piecyk, niewielkie biurko zrobione z drewnianych skrzynek na owoce. Na ścianie wisiał krzyż.

— Usiądźcie i odpocznijcie sobie — powiedział. Skorzystali z zaproszenia.

Wtedy Jerry wyciągnął coś spod pryczy i postawił przed doktorem i Jayem. Rozpoznali to natychmiast.

Przedmiotem tym była walizka Lili, podziurawiona, porysowana, pogięta, zniszczona przez wodę.

Doktor Cooper otworzył walizkę. Większość jej zawartości zniknęła.

— Suktay i Zebu mi to przynieśli, kiedy powiedziałem im o pańskiej córce — wytłumaczył Jerry. — Obawiam się, że większość z rzeczy Lili została zabrana, a potem sprzedana przez miejscowych domokrażców, ale i tym nie można wzgardzić. To dowód na to, że jesteśmy coraz bliżej!

— Kto znalazł tę walizkę?

— Kolo, stary poławiacz pereł, któż by inny? Moi ludzie już go szukają.



Lila przecierała ściany kontenera ręką, zbierając krople osiadłej na nich wody na dłoni. Stamtąd wlewała życiodajny płyn wprost do

ust. Najpierw zebrała wilgoć z jednej strony pokrywy, a potem z drugiej. Starła się przy tym nie uronić ani jednej kropli. Skraplająca się woda nie była słona.

Każda cenna kropla była bowiem dla niej darem od Boga. Wielka wdzięczność narastała w jej sercu z każdym zbawiennym łykiem. Zaczęła płakać.

Głód i palące pragnienie stawały się dla niej powoli czymś normalnym.

Nigdy się nie spodziewałam, że kropla wody będzie dla mnie znaczyć tak wiele, pomyślała. Boże, zbyt wiele rzeczy przyjmujemy za oczywiste, nie dziękując ci nawet, że nam je dajesz. Dziękuję Ci, Panie, za tę wodę ze ścian. Dziękuję, że pozwalasz mi jeszcze żyć. Dziękuję, że wytrzymałeś ze mną, gdy wściekałam się na Ciebie i chciałam robić wszystko po swojemu.

Przypomniała sobie o jeszcze jednej osobie, której sprawiła ból — o swym ojcu. Przypomniała sobie siebie ciskającą słowa gniewu i nienawiści: „Nigdy nie kochałeś mamy! Jedyną osobą, o której tak naprawdę myślisz, jesteś ty sam, ty i te twoje przedsięwzięcia!”

Skrzywiła się na wspomnienie dalszych słów: „Mam już dość! Męczy mnie to ciągle jeżdżenie za tobą po całym świecie. Nie jestem twoim niewolnikiem, jestem twoją córką. Zaslługuję na lepsze traktowanie i mama też zasługiwała na lepsze, jeśli to w ogóle dla ciebie coś znaczy! Chcę wrócić do domu! Nie mam zamiaru zostać w Japonii ani jednego dnia dłużej! Nie będziesz mnie ignorował, tak jak ignorowałeś mamę!”

Nie skarcił jej, nie skrzyczał, nawet nie podniósł głosu. Powiedział tylko: „Zadzwońię do pułkownika Griffitha. Może on załatwi ci na jutro samolot.”

Lila bardzo wyraźnie to wszystko pamiętała. Położyła się na wieku drewnianej skrzyni, odwróciła twarz do ściany i zaczęła płakać. Jej świat się rozpadł, a ostatnią rzeczą, jaką każde z nich będzie pamiętać, są okrutne, bolesne słowa wypowiedziane przed rozstaniem. Czy tak właśnie miało się to skończyć?

— Panie — powiedziała głośno — dziękuję Ci za tatę i Jaya. Dziękuję ci za to, że mnie kochają bez względu na to, jak okropnie ich traktuję. Przykro mi, że sprawiłam im ból. Żałuję, że myślałam tylko o sobie i swoich uczuciach, a nie zastanowiłam się ani przez

moment, co czują inni. — Musiała przerwać, by nabrać powietrza i nieco się uspokoić.

— Jezu... jeśli tylko pomożesz mi się stąd wydostać... przepraszę tatę za wszystko. Proszę, pozwól mi go przeprosić!

Ważna rozmowa

Jerry Garrison podjął swoich gości z wielkimi honorami. Także członkowie plemienia Sutolo otoczyli ich wielką serdecznością oraz wszelkimi dostępnymi wygodami. Wszyscy czworo mogli wziąć kąpiel. Każde otrzymało od tubylców świeże ubrania; doktor Cooper dostał nieco na niego za duże, używane spodnie, Jay — szorty, Zły Dave — plecioną spódniczkę z trawy, zaś pani Flaherty — powiewną, kwiecistą suknię. Ich stare ubrania wzięto do prania w strumieniu. Kolacja przygotowana przez kilka kobiet z wioski przerosła ich najśmielsze oczekiwania; była to istna uczta z owoców morza.

— Tylko zostawcie coś dla tego... jak mu tam? — odezwał się Jerry.

— Porucznik Joe Adams — odparł doktor.

— Jaką rolę on odgrywa w całej tej historii?

— To rządowy nudziarz — odrzekł Dave. — Frajer próbował nas aresztować!

Doktor Cooper starał się udzielić bardziej precyzyjnej odpowiedzi.

— Nie sądzę, on i jego ludzie tworzą oddział rozpoznawczy z okrętu wojennego U. S. S. Findley. Szukają starliftera, tak jak my wszyscy.

— Nie zaszli w tych poszukiwaniach zbyt daleko, prawda? — rzekł Jerry.

— Rzeczywiście. Jego ludzie nadal są jeńcami rebeliantów i szczerze mówiąc nie wiem, co można w tej sprawie zrobić.

Objadający się cytrusowymi owocami Dave wybełkotał z ustami pełnymi jedzenia:

— Jeśli chodzi o mnie, to zacznę pomagać Adamsowi dopiero wtedy, kiedy on zacznie pomagać nam.

Jerry dostrzegł coś poprzez uchylone drzwi.

— Skoro mowa o Adamsie...

Wzrok wszystkich podążył za spojrzeniem misjonarza. Widok, który ujrzeli, był doprawdy dziwny. Przy głośnym biciu bębnow Suktay i Zebu, wyprostowani i dumni, wkraczali do wioski na czele swych żołnierzy, niczym wodzowie powracający ze zwycięskiej wojny. Gęstniejący tłum witał ich triumfalnymi okrzykami.

Za plecami wodzów dwaj wojownicy nieśli na barkach długą tykę, na której, niczym upolowana zwierzyna, wisiał za ręce i nogi porucznik Joe Adams, nieprzytomny z bezsilnej wściekłości.

Doktor Cooper i jego przyjaciele byli tak zaskoczeni tym widokiem, że nie wiedzieli, czy mają śmiać się, czy też oburzać.

— Hmm, niektóre obyczaje trudno jest wykorzenić — przyznał Jerry ze wzruszeniem ramion. — Chodźmy, trzeba pomóc temu biedakowi.

Wybiegli z chaty Jerry'ego, by wyjść naprzeciw powracającej wyprawie. Suktay i Zebu z radosnym uśmiechem podeszli do misjonarza, pochylili się nisko, po czym przekazali mu Adamsa jako specjalny podarunek.

Jerry nie poskąpił im pochwał.

— Dobra robota! Przynieśliście wspaniałą zdobycz! Adams miał już dość bycia zdobyczą.

— Hej, ludzie! Powiedźcie coś tym dzikusom! Zły Dave miał jednak inne zamiary.

— Zaraz, zaraz, nie tak szybko! Może najpierw my porozmawiamy sobie z panem!

Adams rzucił Dave'owi pełne wściekłości spojrzenie.

— Nikt nie będzie mnie do niczego zmuszał, drogi panie. Nie mam zwyczaju rozmawiać z kimkolwiek wisząc do góry nogami.

W odpowiedzi Dave zwrócił się do wojowników.

— Dobra, wrzućcie do kotła! Już dawno czas na obiad!

Wojownicy ochoczo zabrali się do wykonania rozkazu.

— Nie, nie, zaczekajcie! — wrzasnął Adams. Doktor Cooper postanowił wkroczyć do akcji.

— Poczekajcie, przyjaciele. — Wojownicy położyli Adamsa z powrotem na ziemi. Doktor Cooper przyklęknął, by z nim porozmawiać.

— Cieszę się, że widzę pana żywym.

Adams nie był pewien, jak traktować słowa doktora.

— No... ja też.

— Dave starał się, jak sędzę, przekonać pana o konieczności współpracy z nami. Przyznaję, że w pełni się z nim zgadzam. Można by powiedzieć, przepraszam za porównanie, że wszyscy znajdujemy się w tym samym garnku. Innymi słowy, wszyscy mamy ten sam cel, takie same problemy w jego osiągnięciu oraz tych samych wrogów.

— Więc co pan proponuje?

— Jestem pewien, że ma pan pewne informacje, które mogłyby okazać się dla nas przydatne, zaś my mamy kontakty wśród tubylców, co z kolei mogłoby się przydać panu, panie poruczniku. Obaj nie posiadamy ani ludzi, ani broni. Mamy tylko siebie. Jeśli zapomni pan o obowiązku aresztowania nas i będzie z nami współpracował, być może razem uda nam się osiągnąć nasz wspólny cel.

Adams rozważył propozycję doktora. Zastanowił się też nad tym, czy tak naprawdę zdolny jest kogokolwiek aresztować wisząc na drągu. Zwrócił się do nich wszystkich:

— Czy wszyscy jesteście po tej samej stronie i działamy dla dobra Stanów Zjednoczonych?

Pokiwali głowami. Zły Dave zaczął śpiewać:

— Mój kraju, to dla ciebie, słodka ziemi wolności...

— W porządku, w porządku — przerwał mu Adams.

— Zgoda. Działamy razem.

Na polecenie Jerry'ego, wojownicy ostrożnie rozcięli sznury na rękach i nogach Adamsa.

— Proszę do środka, poruczniku — powiedział Jerry.

— Obiad już na pana czeka.

W tym momencie z drugiego końca wsi rozległo się głośnie wołanie. Następny pochód wkraczał do wioski.

— Kolo! — krzyknął radośnie Jerry. — Znaleźli go!

Kolo, mały, łysy mężczyzna o szerokim uśmiechu i krzywych kończynach, zbliżał się do nich spiesznym krokiem. Kilku członków

plemienia szło za nim, niosąc pełno różnych przedmiotów. Amerykanie rozpoznali je natychmiast.

Adams nie potrafił ukryć podniecenia.

— On znalazł samolot!

Jerry ostrzegł ich ściszym głosem:

— Nie biegnijcie w jego stronę, proszę. Pozwólcie, by podszedł tu sam. Bądźcie cierpliwi.

Posłuchali jego rady. Jednak gdy filigranowy mężczyzna podszedł do misjonarza, by się z nim przywitać, ich oczy skierowały się na przedmioty, które tubylcy układali przed nimi w równych rzędach. Były tam pojemniki i niewielkie skrzynki z napisem USA, kilka toreb należących do członków załogi, parę narzędzi, zużyta butla tlenowa, nie nadmuchana tratwa ratunkowa.

Adams podszedł do rzeczy i zaczął otwierać jedną z toreb. Mały poławiacz pereł wrzasnął na niego z oburzeniem i chwycił porucznika za ramię. Adams odepchnął go na bok.

— Nie, poruczniku, proszę! — krzyknął Jerry. — Niech pan się odsunie!

Porucznik poczuł nagle na plecach zimny dotyk metalowego ostrza. Był to grot włóczni. Kilka innych włóczni natychmiast skierowało się w jego stronę. Tubylcy byli gotowi w każdej chwili z nim skończyć.

Jerry wyrzucił z siebie potok słów po sutolsku, starając się uspokoić wojowników, wytłumaczyć zachowanie porucznika. Potem delikatnie wziął Adama za ramię i powiedział:

— Proszę się odsunąć. Obraża ich pan.

— Ależ to własność Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych! — zaprotestował wojskowy.

— Nie, przynajmniej nie dla nich — odparł Jerry. — Proszę stanąć obok innych.

Adams posłuchał misjonarza. Włócznie wojowników z pewnością ułatwiły mu podjęcie tej decyzji.

Jerry zwrócił się teraz do członków plemienia oraz do poławiacza pereł. Próbował wytłumaczyć całe to nieporozumienie i przeprosić w imieniu Adama.

Tubylcy wyglądali na przekonanych słowami misjonarza. W końcu Jerry powrócił do grupki Amerykanów, podczas gdy wojownicy

wraz z poławiaczem pereł przystąpili do dalszego układania przedmiotów na ziemi.

Jerry odezwał się cicho:

— Przyjęli pańskie przeprosiny.

— Przeprosiny! — oburzył się Adams. Jerry nie pozwolił mu powiedzieć nic więcej.

— Powiedziałem im, że bardzo pan żałuje, iż naruszył pan ich zwyczaje. Rozumieją teraz, że jest pan z dalekiego kraju i nie zna dobrych manier.

— Jasne — przyznał Dave, patrząc na Adamsa. — W pełni się z nimi zgadzam.

W tym momencie Jerry musiał wskoczyć między nich, żeby zapobiec bójce.

— Zaraz, posłuchajcie: Kolo uważa się za kupca. Myśli, że przybyliście tutaj, aby kupić jego skarby. To dlatego wyklada je przed wami.

— Ale to nie jest jego własność! — cicho zaprotestował Adams.

— Ależ tak. Wedle tutejszych zwyczajów, jeśli wyłowisz coś z morza, to należy to do ciebie. Nikt poza tobą nie może sobie rościć do tego przedmiotu żadnych praw.

— Z morza? — powtórzył doktor Cooper. Jerry zobaczył, że Kolo jest gotów.

— Lepiej niech on sam wam o tym opowie. — Powiedział coś do Kola po sutolsku, a wtedy poławiacz pereł rozpoczął prezentację swych towarów. Mowa jego była bardzo barwna, okraszona szerokimi, wymownymi gestami oraz dramatycznymi zmianami barwy głosu. W Stanach byłby znakomitym komiwojażerem.

Jerry tłumaczył słowa Kola na angielski.

— Oto niezwykle rzadkie skarby wyłowione przez Kola z morskowego dna. Są to kawałki gwiazd, planet, wielkich ptaków, które z rykiem fruują po niebie. Nikt wcześniej nie widział tylu cudów naraz i nikt już więcej nie zobaczy. A teraz, drodzy amerykańscy barbarzyńcy, przedstawię wam niezwykłą ofertę...

Prezentacja zdawała się nie mieć końca. Z niecierpliwością oczekiwali, aż Kolo zakończy przemowę, by móc wreszcie obejrzeć przyniesione przez niego rzeczy, na razie jednak mogli tylko starać się wyglądać na zainteresowanych jego słowami.

Wreszcie Kolo zamilkł, a Jerry przetłumaczył ostatnie słowa prezentacji.

— Więc podejdźcie teraz i spójrzcie na jego bogactwa, magiczne skarby, które spadły z nieba. — Jerry dodał parę słów od siebie. — Możecie obejrzeć jego towary, ale proszę, bądźcie przy tym uprzejmi i nie dotykajcie za dużo.

Powoli, dostojnie zbliżyli się do towarów, które w równych rzędach leżały na ziemi.

— A więc te rzeczy spadły z nieba — powiedział doktor.

— I zostały wyłowione z morskiego dna — dodał Adams. — Przykro mi, doktorze, ale to nie wygląda zbyt dobrze. Prawdopodobnie kapitan Weisfield próbował wodować, lecz wszystkie te przedmioty wskazują na to, że samolot nie wytrzymał uderzenia i rozpadł się na kawałki. Proszę zwrócić uwagę na nie nadmuchaną tratwę ratunkową. Normalnie znajduje się ona tuż przy wyjściu awaryjnym i zostaje nadmuchana od razu po wodowaniu. Pewnie nie było jej komu nadmuchać, bo nikt nie przeżył.

Jay przyniósł jeden z przedmiotów ojcu.

— Tato... torebka Lili.

Doktor Cooper rozpoznał ją natychmiast i prawie tego pożałował. Za zgodą Kolo otworzyli torebkę. Była pusta. Prawdopodobnie Kolo zdążył już sprzedać jej zawartość, tak jak sprzedał medalion tubylcowi z Kurnoe. Jednak wyżłobione na torebce inicjały „L. M. C.” mówiły same za siebie.

— Jerry — spytał doktor — czy Kolo może nam coś powiedzieć o miejscu, w którym rozbił się samolot, i o stanie, w jakim się on znajduje?

Jerry wdał się w długą rozmowę z Kolo. Na niektóre pytania Kolo zdawał się odpowiadać chętnie, na inne kręcił tylko w milczeniu głową.

Jerry przedstawił im wynik rozmowy.

— Mówi, że skarby nie znajdują się w tym samym miejscu, lecz są porozrzucane po dużym obszarze morskiego dna. Nie chce powiedzieć, gdzie. To jego sekretna kryjówka i nie chce, by ktokolwiek o niej wiedział.

Adams pokręcił głową.

— Zdaje się, że samolot rozleciał się na kawałki. — Zwrócił się do Jerry'ego — Czy są jakieś ślady samego samolotu, jakieś części kadłuba albo silnika?

— Hmm... a jak wyglądał ten samolot? — spytał Jerry.

— Wielki, prawie 50 metrów długości, cztery silniki...

— Jakiego koloru?

— Brunatnozielony.

Jerry rozmawiał przez chwilę z Kołem, a potem zwrócił się do porucznika.

— Kolo jest podejrzliwy. Uważa, że chcecie wydrzeć mu jego tajemnicę.

— Trafiliśmy w czułe miejsce — zauważył doktor Cooper. — Zrozumiał, o czym rozmawiamy.

— Proszę mu powiedzieć, że nie chcemy mu niczego zabrać. Proszę powiedzieć, że samolot jest nasz.

— Zrobię to — odparł cicho Jerry — ale proszę, na razie nie pytajmy go o nic więcej. Jeśli rozbudzimy w nim podejrzliwość, w ogóle przestanie z nami rozmawiać.

— Ale... — zaczął Jay. Wymienił porozumiewawcze spojrzenie z ojcem. Obaj czuli to samo: byli tak blisko! Nie mogli się teraz tak po prostu poddać!

— Rzućmy okiem na te szczątki — powiedział Adams. — Może czegoś się z nich dowiemy. Poza tym damy handlarzowi czas na nabranie zaufania.

Zaczął przeglądać zawartość koszyka wypełnionego drobnymi przedmiotami. Na widok jednego z drobiazgów brew porucznika zmarszczyła się z zaciekawienia.

Doktor Cooper, Jay i pani Flaherty szybko znaleźli się obok Adamsa, który trzymał w ręku mały, metalowy przedmiot w kształcie litery „T”.

— Co to jest? — spytał chłopiec.

— To klucz od pokrywy. — Zauważył ich pytające spojrzenia, więc zaczął wyjaśniać — Od po... — Zawahał się przez chwilę. — A zresztą. Iwanowicz mówił prawdę. Samolot przewoził na pokładzie ściśle tajną broń laserową. Znajdowała się ona w specjalnej pokrywie, wielkim, stalowym kontenerze, który nie przepuszcza powietrza, wody, jest odporny na kule i tak dalej i tak dalej. Ten klucz

jest częścią mechanizmu zamykającego właz kontenera. W razie niebezpieczeństwa lub groźby przechwycenia go przez wroga, właz można zamknąć, a wtedy klucz sam się odłamuje, by nie dopuścić do otwarcia pokrywy przez nieupoważnione do tego osoby. Ma to dać nam czas na odnalezienie kontenera, zanim ktoś inny, jak ten śmieciarz tutaj, zdoła wdrzeć się do środka i złupić jego zawartość.

— Co, według pana, znaczy odnalezienie tego klucza? — spytał doktor.

— Przede wszystkim dobre wiadomości dla rządu Stanów Zjednoczonych. Znaczy to bowiem, że zanim samolot wpadł do wody, ktoś zdążył zamknąć i zabezpieczyć pokrywę. To z kolei znaczy, że laser najprawdopodobniej bez uszczerbku przetrwał katastrofę, mimo że kontener znajduje się pod wodą. — Po czym dodał zdesperowany. — Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie go szukać.

Jay wziął głęboki oddech. Doktor Cooper spojrzał na niego pytającym wzrokiem, lecz chłopiec nie odpowiedział ani słowem.

— O co chodzi, synu? — spytał doktor.

— Chyba nie warto nawet o tym mówić...

— O czym? — Nagle doktor Cooper zrozumiał. — Aha... Panie poruczniku, proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy znalazłoby się w tym pojemniku miejsce dla trzynastoletniej dziewczynki, kogoś nieco mniejszego niż Jay?

Adams spuścił głowę i pokręcił nią przecząco.

— Proszę nawet o tym nie myśleć, doktorze. To po prostu zbyt nieprawdopodobne...

— Czy jest tam miejsce?

— Doktorze, będzie pan bardzo rozczarowany...

— Czy jest tam miejsce? Adams dał za wygraną.

— Tak, miejsce tam jest. W najlepszym jednak wypadku daje to panu tylko fałszywą nadzieję. Kontener od pięciu dni znajduje się pod wodą. Nawet gdyby ktoś w nim był, to już dawno zabrakłoby mu powietrza.

— Dalsza dyskusja nie ma żadnego sensu. Musimy znaleźć ten kontener. Jerry!

— Tak, doktorze?

— Musimy zadać Koloowi pewne pytanie.

Wymagało to długiego, wytrwałego tłumaczenia i przekonywania, nim Kolo uznał wreszcie, że być może ci ludzie nie są wcale

szpiegami, którzy dybią na jego tajemnice. Adams próbował mu wytłumaczyć, jak wyglądał kontener, lecz Kolo nie rozumiał. Adams narysował go na piasku, ale i ten sposób zawiódł.

— Jest duży, bardzo duży.

Jerry przetłumaczył to Kołowi, ten jednak patrzył na misjonarza błędnym wzrokiem. W końcu wymamrotał coś pod nosem.

— Jak duży? — spytał Jerry. — Musi mu pan pokazać. Adams tracił cierpliwość. W końcu złapał jakiś patyk

i nakreślił nim pełnowymiarowy kształt kontenera. — Jest... tak długi jak to, jasne? Metalowy, bardzo twardy, zielony, ma duże drzwi po tej stronie... — Jerry tłumaczył wszystko Kolowi. — Czy on coś z tego rozumie?

Wtedy zobaczyli błysk w jego oczach. Kolo nagle zrozumiał.

Jerry spytał go, czy widział pojemnik.

Kolo skrzyżował ramiona na piersiach, zacisnął usta i pokręcił głową. Adams ze złością odrzucił patyk.

— On kłamie! Dobrze wie, o czym mówimy!

— Jerry — powiedział doktor pełnym napięcia głosem. — Musimy wiedzieć, gdzie to jest!

Kolo znów pokręcił głową.

Doktor Cooper podszedł do poławiacza pereł.

— Proszę nam powiedzieć. Musimy znaleźć ten pojemnik.

Jerry chciał to przetłumaczyć, lecz Kolo pokręcił głową, zanim misjonarz zdołał wypowiedzieć choć jedno słowo.

— Zrozum, człowieku, tam może być moja córka! Jerry powiedział do Kołowi, lecz ten nie zmienił swego postanowienia.

Doktor Cooper z trudem powstrzymał się, by nie chwycić małego człowieczka za szyję. Wstrzymując oddech, starał się opanować targające nim emocje.

Jerry starał się go uspokoić.

— Doktorze Cooper...

— Przepraszam. — Doktor obrócił się na pięcie i ruszył ciężko w stronę dżungli.

— Nie martwcie się — odezwał się cicho Adams do stojących obok niego Amerykanów. — Wiemy wystarczająco dużo. Znajdziemy ten kontener.

Pani Flaherty podążyła wąską ścieżką, uważnie rozglądając się

dokoła. Po pewnym czasie dotarła do niewielkiej polanki, gdzie na pniu przewróconego drzewa siedział w zamyśleniu doktor Cooper. Podeszła do niego powoli. W jego oczach ujrzała głęboki ból. Musiał zauważyć jej obecność, lecz w żaden sposób tego nie okazywał.

Usiadła obok niego i po krótkiej, cichej modlitwie odezwała się łagodnym głosem:

— Wszystko będzie dobrze, Jake. Bóg jest miłosierny. Westchnął głośno i spróbował się uspokoić.

— Przepraszam. Musiałem oddalić się od tego człowieka, by nie zrobić czegoś głupiego.

Pani Flaherty spojrzała na niego mądrymi, rozumiejącymi oczami i rzekła:

— Jake, przecież pan jest kłębkim nerwów zamkniętym w twardej skorupie. Wybuchnie pan któregoś dnia. Boję się o pana.

Podniósł wzrok.

— Jest pani bardzo mądrą kobietą, pani Flaherty. Zamyśliła się przez chwilę.

— Miło mi to słyszeć od pana. Ale proszę mi coś powiedzieć... Czy pańskie zmartwienia nie mają czasem czegoś wspólnego z Katherine?

Twarz doktora natychmiast przybrała inny wyraz.

— Wie pani, że unikam tego tematu. A poza tym nie wydaje mi się, by miało to jakikolwiek związek z sytuacją, w której się znajdujemy.

— Jak pan uważa. To wszystko przywodzi mi na myśl Johna, mojego zmarłego męża. Czy mogę panu powiedzieć, dlaczego?

Doktor Cooper starał się zachować dobre maniery.

— Jeśli pani sobie tego życzy...

— Mam nadzieję, że wybaczy mi pan tak osobisty ton, ale muszę panu wyznać, że bardzo kochałam tego człowieka. Nie było dla mnie nikogo lepszego od Johna Flaherty'ego. Był człowiekiem pełnym wiary, pełnym wewnętrznej siły, który kochał mnie z całego serca. Jestem dumna, że noszę jego nazwisko. Kiedy Bóg zabrał go do siebie, nie mogłam pogodzić się z tą myślą, nie mogłam nawet w to uwierzyć.

Pani Flaherty przerwała na chwilę, by nabrać odwagi.

— Dlatego nie chciałam się z nim pożegnać. Nie pozwalałam sobie samej smucić się ani płakać. Nie wypowiadałam nawet jego

imienia. Być może wydawało mi się, że jeśli nie dopuszczę do siebie prawdy, John nigdy tak naprawdę mnie nie opuści.

Wydaje mi się więc, że dobrze pana rozumiem. Wiem jak to jest chować się w grubej skorupie i nigdy z niej nie wychodzić. Dla mnie taką skorupą była praca. Podróżowałam, prowadziłam dochodzenia, szukałam sensacji, pisałam. W ciągu trzech lat zrobiłam pewnie więcej niż w ciągu całego wcześniejszego życia. Teraz już wiem, dlaczego. To pomagało mi nie myśleć o bólu.

— Ale wie pan co? Dopóki siedzi się w takiej skorupie, nigdy nie jest się wolnym. Jest się więźniem... takim, jak być może w tej chwili jest Lila. Co gorsza, dopóki siedzi pan w tej skorupie, nie może pan być przy swych bliskich, gdy tego potrzebują.

Doktor Cooper uspokoił się. Uważnie słuchał jej słów. Potem spytał cichym głosem:

— Skąd pani tyle o mnie wie?

— Pamięta pan naszą rozmowę w łodzi Dave'a tamtej nocy? Pamięta pan, jak bardzo zamknął się pan w sobie i nie chciał mówić o Katherine? Od razu pojęłam, jaki ból czuje pan w głębi serca. Sama też to kiedyś czułam. — Potem dodała ostrożnie — Ale powiem panu coś jeszcze. Widziałam, jak bardzo Jay chciał porozmawiać o swojej mamie. Jake, on chce czuć, chce kochać wspomnienie o matce, chce, żeby wasze serca biły podobnym rytmem. Odczuwa ból za każdym razem, gdy uderza w tę pańską skorupę, chcąc pana z niej wydobyć.

Doktor Cooper przyznał ściszonego głosem:

— Zawsze wiedziałem, że tak jest, mimo że on nigdy nie powiedział tego wprost. Za to Lila wyraziła swoją opinię aż z nadto jasno. Mieliliśmy ostrą wymianę zdań tuż przed jej odlotem... — Głos doktora załamał się nagle.

Pani Flaherty dotknęła jego ramienia.

— Lila jest w rękach Boga. On wie, co dla kogo jest najlepsze. A pan, Jake, także wie, co powinien pan teraz zrobić.

— Tak pani myśli?

Wstała, by odejść. Przedtem jednak odezwała się do niego łagodnie:

— Rana nigdy się nie zagoi, dopóki nie zaczniemy jej leczyć. Niech pan wyjdzie z tej skorupy, Jake. Niech pan pożegna się z Katherine. Niech pan nie boi się czuć. Pańskie dzieci potrzebują ojca, który pozwoli im zbliżyć się do siebie. A teraz lepiej już sobie pójdę.

Cicho opuściła polanę. Doktor Cooper został sam, pogrążony w myślach, modlitwie i własnych uczuciach.

Niedługo później Jay wybrał się na poszukiwanie ojca; znalazł go samego na niewielkiej polanie.

Doktor siedział pochylony. Płakał. Jay domyślił się tego po długich, miarowych spazmach, które targały ciałem ojca.

Chłopiec miał już do niego podejść, gdy czyjaś dłoń delikatnie chwyciła go za ramię.

Pani Flaherty.

— Wszystko w porządku — wyszeptała. — On po prostu leczy starą ranę — uśmiechnęła się. — Zresztą, pewnie sam niedługo ci o tym opowie.

Historia Jonasza

Lila odpoczywała w ciepłym, uspokajającym świetle czerwonych lampek maszyny. Powoli oddychała tlenem z butli. Wcześniej zastanawiała się często, na jak długo starczy tlenu z jednej butli, potem jednak doszła do wniosku, że jak się skończy, to się skończy i trudno. Nie chciała, by to się stało, lecz była na to przygotowana.

Wyjęła z kieszeni małą, kieszonkową Biblię i ostrożnie zaczęła przewracać mokre kartki. Odnalazła Księgę Jonasza. Widok tej cieniutkiej księgi w środku Biblii w dziwny sposób podniósł ją na duchu. Dotąd była to dla niej po prostu interesująca historia, nic więcej. Teraz Jonasz, ten zbuntowany prorok, stał się kimś bardzo bliskim. Teraz dopiero wiedziała, co musiał czuć uwięziony w brzuchu wieloryba. O wiele lepiej rozumiała też, dlaczego wpadł w takie tarapaty: próbował uciec od Boga.

— Zupełnie tak jak ja — przyznała.

Przypomniała jej się rozmowa z porucznikiem Jamisonem:

„Weźmy na przykład Jonasza” powiedział wtedy porucznik. „Próbował uciec od Boga, więc Bóg sprowadził pewne problemy. W ten sposób zatrzymał Jonasza, by móc z nim porozmawiać.”

„Dzięki temu, że połknęła go wielka ryba, tak?” odparła.

„Właśnie. W ten sposób chciał ściągnąć jego uwagę na Siebie.”

Lila jeszcze raz zaczęła czytać opowieść o Jonaszu. Tak, Bóg ściągnął na Siebie jej uwagę. Gdy tak czytała modlitwę Jonasza wypowiedzianą w brzuchu wielkiej ryby, z zaskoczeniem zauważyła, że jest to także jej modlitwa:

*„W utrapieniu moim wołałem do Pana,
a On mi odpowiedział.*

*Z głębokości wzywałem pomocy,
a Ty usłyszałeś mój głos.
Rzuciłeś mię na głębie, we wnętrze morza,
i nurt mnie ogarnął.
Wszystkie Twe morskie bałwany i fale Twoje
przeszły nade mną.
Rzekłem do ciebie: Wygnany daleko od oczu
Twoich,
jakże choć tyle osiągnę, by móc
wejrzeć na Twój święty przybytek?
Wody objęły mię zewsząd, aż po gardło,
ocean mnie otoczył,
sitowie ogoliło mi głowę.
Do posad gór zstąpiłem,
zawory ziemi zostały poza mną na zawsze.
Ale Ty wyprowadziłeś życie moje z przepaści,
Panie, mój Boże!
Gdy gasło we mnie życie,
wspomniałem na Pana,
a modlitwa moja dotarła do Ciebie,
do Twego świętego przybytku.
Czciciele próżnych marności
opuszczają Łaskawego dla nich.
Ale ja złożę Tobie ofiarę,
z głośnym dziękczynieniem.
Spełnię to, co ślubowałem.
Zbawienie jest u Pana”.*
Łzy napłynęły jej do oczu.

— Tak, panie, to ja. Próbowałam uciec, zamiast stawić czoła problemom. Szkoda, że potrzeba było aż takiej sytuacji, bym mogła to dostrzec. Cóż... jeśli umrę, to umrę, ale jeśli przeżyję... wtedy, Panie, zrobię to, co zrobił Jonasz: dotrzymam obietnicy. Zrobię to, co chcesz, żebyś zrobiła, pogodzę się z tatą.

Poczuła w sercu spokój, spokój tak wielki, że nie miało to już dla niej wielkiego znaczenia, że znajdowała się w metalowej puszcze na dnie oceanu. Nie czuła się uwięziona; nie czuła się samotna. Była w zgodzie z Bogiem.

Położyła głowę na drewnianym wieku skrzyni i zasnęła.



Następnego ranka bicie bębnow i wrzawa wyrwały doktora Coopera i Jaya ze snu.

— Co to? — spytał zaspany Jay.

Doktor Cooper stał w drzwiach chaty i patrzył w stronę plaży.

— Jakieś czółna przypłynęły.

Jay stanął u boku ojca. Pani Flaherty stanęła w progu swojej chaty, zaś Zły Dave i porucznik Adams przepychali się w drzwiach swojej.

Wszyscy widzieli dokładnie, jak grupa wojowników wyciąga na brzeg cztery wielkie czółna, podczas gdy reszta plemienia tłoczy się wokół z wyraźnym podekscytowaniem.

Jeden z wojowników z triumfalnym okrzykiem uniósł wysoko nad głowę metalowy cylinder.

Porucznik Adams natychmiast rozpoznał ten przedmiot

— Butla do nurkowania!

— Co pan powie! — zaśmiał się Dave.

Adams w pośpiechu założył spodnie i zszedł po drabince na ziemię. — Znaleźli wrak naszej łodzi!

Jerry Garrison stał na plaży i przywoływał ich energicznymi ruchami rąk. Błyskawicznie narzucili na siebie jakieś ubrania i pobiegli na miejsce zbiegowiska.

— Poruczniku Adams — rzekł Jerry — całe to wyposażenie pochodzi zapewne z pańskiej łodzi!

Adams przejrzał rzeczy zebrane w czółnach.

— Tak, zgadza się. To nasz sprzęt do nurkowania... butle, maski, płetwy! — Zawahał się. — I co teraz? Czy skoro wyciągnęli te rzeczy z morza, to uważają je za swoją własność?

Jerry uśmiechnął się nieśmiało i pokiwał głową.

— Proszę się nie martwić, już z nimi o tym rozmawiałem. Powiedzieli, że z przyjemnością wypożyczą panu wszystko, czego tylko pan potrzebuje.

Adams uśmiechnął się z przekąsem.

— To miło z ich strony. — Nagle zauważył coś jeszcze. — O! Radio! — Wyciągnął niewielki nadajnik z dna łodzi i obejrzał go do-

kładnie. — Rozbite. A niech to! Muszę połączyć się z „Findleyem”. Na pewno zastanawiają się, co się z nami stało. — Adams wyglądał na zmartwionego. — Tak bardzo chciałbym im powiedzieć, gdzie jesteśmy i co wiemy, zanim będzie za późno.

— Za późno? — zaniepokoił się doktor. Adams nie był skory do rozwijania tego tematu.

— Miejmy nadzieję, że rebelianci nie dotrą do kontenera przed nami.



Wielki biały jacht Iwanowicza wolno przesuwiał się po spokojnych wodach oceanu około mili od Tukanii. W pewnej chwili obserwator na dziobie dostrzegł coś w błękitnej wodzie i krzyknął do sternika. Ten włączył wsteczny napęd i jacht powoli zaczął się cofać.

Większość członków załogi — a także paru rebeliantów — wychyliło się za burtę. Po chwili widzieli to już wszyscy.

Oto głęboko pod powierzchnią czystej jak kryształ wody majaczył rozedrgany kształt — ciemnozielony fragment skrzydła.

Rebelianci zakrzyknęli z radości. Iwanowicz podszedł do burty, by zobaczyć to na własne oczy. Uśmiechnął się i pokiwał głową.

— No, nareszcie! — powiedział po rosyjsku. — Szybko, sprawdź prądy morskie. Opuść szalupę! Mostek — połączyć się z partyzantami i powiedzieć im, by do nas dołączyli. Zbliżamy się do miejsca katastrofy!

Trzej mężczyźni wypłynęli na morze w małym, nadmuchiwym motorowym pontonie. Krążąc po okolicy, wypatrywali w wodzie innych śladów samolotu.

Jakiś czas później znaleźli kolejny fragment. Natychmiast dali znak załodze jachtu, który podążył za nimi z głośnym dudnieniem silników.

Wkrótce od strony wyspy nadpłynęła łódź rebeliantów. Znowu znajdowali się w komplecie. Nawet ci, którzy dopiero co wydobrżeli po ataku tubylców, byli pełni chęci do działania.

Iwanowicz wrócił na mostek i z zadowoleniem klasnął w dłonie.

— Szkoda, że nasi amerykańscy jeńcy pod pokładem nie mogą tego zobaczyć. Zwycięzcy biorą wszystko! To tylko kwestia czasu!



Porucznik Adams sprawdził sprzęt do nurkowania.

— Wygląda dobrze — powiedział. — Butle działają, powietrze jest nadal sprężone. Nurkował pan kiedyś, doktorze?

— Tak, obaj z Jayem trochę nurkowaliśmy.

— A pan, Dave?

— Nurkuję lepiej niż pan, z butlą, czy bez butli.

— No to zakładajcie to na siebie, wszyscy.

Adams wyjął kilka wielkich, niebezpiecznie wyglądających noży. — Weźcie sobie po jednym, na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa. Przygotujemy sprzęt i zaczniemy szukać. Jerry, czy ma pan jakieś przypuszczenia, co do miejsca połowów Kola?

Jerry zastanawiał się przez chwilę.

— Wiem, że spędza sporo czasu na małym atolu¹ na północ od wyspy, ale tak dawno...

Nagle od strony plaży rozległ się przeraźliwy wrzask. Jakiś człowiek biegł ku nim w szaleńczym pędzie, a na jego twarzy malowała się rozpacz.

Był to Kolo.

— O wilku mowa — odezwał się Adams.

— Chyba zjem go zaraz na śniadanie! — rzucił Dave. Kolo podbiegł do nich zdyszany i zaczął wyrzucać

z siebie potok słów. Był podekscytowany. Coś musiało go bardzo zdenerwować.

Jerry słuchał i tłumaczył:

— Mówi, że jacyś obcy przybyli do jego sekretnego miejsca. Wielu, wielu złych ludzi... wielkie czółno w kolorze mew...

— Iwanowicz! — odgadł Adams.

— Znaleźli miejsce katastrofy! — zawołał Jay. Jerry tłumaczył dalej.

— Chce, żebyście mu pomogli, żebyście przepędzili złych ludzi.

Adams uśmiechnął się z zadowoleniem. — A co z kontenerem? Czy pokaże nam, gdzie on jest?

Jerry powtórzył pytanie porucznika po sutolsku. Kolo przytaknął i mówił dalej.

¹ atol — wyspa koralowa w kształcie ciągłego lub przerywanego pierścienia otaczającego lagunę

— Pokaże nam to miejsce — powiedział po chwili Jerry. — Mówi, że prądy zniosły kontener nieco dalej od resztek samolotu, ale źli ludzie są coraz bliżej tego miejsca.

— Czy zdążymy tam przed komunistami?

— Kolo mówi, że to możliwe, jeśli wyruszymy natychmiast.

Doktor Cooper, Jay i Dave zaczęli ładować sprzęt do czółna. Pani Flaherty zbierała wioślarzy. Adams zapytał Jerry'ego:

— Czy Kolo widział jakieś inne łodzie? Duże, szare łodzie? Okręty wojenne?

Jerry spytał Kola, a potem przetłumaczył jego odpowiedź:

— Nie, tylko tę wielką białą oraz jeszcze jedną, mniejszą, zapewne należącą do rebeliantów.

— Muszę skontaktować się z „Findleyem”! Właśnie wtedy do ich uszu dotarł odległy warkot samolotu.

— Tam! — krzyknął Jay i pokazał palcem w stronę morza.

Adams pobiegł na plażę, by lepiej się przyjrzeć.

— To jeden z naszych, helikopter z „Findleya”.

— Świetnie! — odezwał się Jay. — Nasi chłopcy wreszcie tu są!

— Na pewno znajdują rebeliantów, a może też kontener — powiedział Dave.

Lecz Adams zdawał się całkowicie pochłonięty czym innym.

— Szybciej, wciągamy te czółna do wody i odpływamy!

Doktor Cooper nie krył zdziwienia.

— Poruczniku Adams, marynarka wojenna zajmie się rebeliantami dużo lepiej niż my. Czy nie powinniśmy zaczekać, aż wojsko oczyści teren?

— Doktorze — odparł Adams — w normalnych warunkach tak właśnie bym zrobił. Ale to nie są normalne warunki. Nie dałbym grosza za to, że pańska córka żyje, ale jeśli tak jest... Musimy dostać się do kontenera zanim zrobią to rebelianci, a już na pewno zanim „Findley” w ogóle się do niego zbliży.

Doktor Cooper wyczuł, że Adams coś jeszcze przed nimi ukrywa.

— O czym pan nam jeszcze nie powiedział, poruczniku?

— Tylko o jednym drobiazgu, jednym małym zabezpieczeniu: laserze naładowanym taką ilością środków wybuchowych, że w razie eksplozji nie tylko kontener, ale i wszystko wokół niego po prostu zniknie z tego świata. Jeśli ludzie z „Findleya” będą mieli choć-

by najmniejsze podejrzenia, że laser może dostać się w obce ręce, natiychmiast wydadzą mu rozkaz samozniszczenia. Wystarczy, że nawiążą z nim kontakt radiowy, reszta jest dziecinnie prosta.

— Nie ma sposobu, żeby temu zapobiec?

— Jak już powiedziałem, moje radio zostało zniszczone. Nie mogę się z nimi skontaktować, by powstrzymać wydanie rozkazu.

— Tato, jeśli zobaczą, że rebelianci znaleźli ten pojemnik... — zaczął Jay.

— Jeśli zobaczą, że rebelianci w ogóle się do niego zbliżają — przerwał mu Adams — może być po wszystkim.

Doktor Cooper wiedział już wystarczająco wiele.

— Zepchnijmy te czółna do wody.

Po chwili dwa wielkie czółna kołysały się na falach. Doktor Cooper, Jay oraz pani Flaherty wsiedli do jednego z nich, zaś Dave, Adams i Kolo — do drugiego. Czterech silnych wiosłarzy w każdej z łodzi wiosłowało zgodnie ze wskazówkami Kola. Wyłynęli na głębszą wodę, a potem skierowali się na północ, wzdłuż brzegu.



Jacht Iwanowicza opływał powoli olbrzymi atol. Załoga uważnie wyglądała mielizn i niebezpiecznych raf koralowych. Iwanowicz długo patrzył na atol przez szkła lornetki, aż w pewnym momencie serce zabiło mu szybciej. Był niemal pewien, że widzi plamę oleju unoszącą się na wodzie. Na dalszym końcu płytkiej laguny, obok prawie niewidocznej rafy, ciemnozielony kształt sterczał nisko ponad wodą. Iwanowicz rozpoznał w nim ogon samolotu. Widać nawet było numery: MAC 502... Reszta znajdowała się pod wodą.

Woda była tam zbyt płytka, by mógł na nią włynąć tak duży statek. Nieduża łódź rebeliantów płynęła dalej w towarzystwie kilku zwiadowców w małych, nadmuchiwanych pontonach z silnikami. Gdy tak sunęli po płytkich wodach laguny, widzieli wyraźnie, że dno jest wręcz zasypane szczątkami samolotu oraz resztkami ładunku. Pontony rozpierzchły się po lagunie w poszukiwaniu czegoś, co w jakikolwiek sposób przypominać mogło laser.

Iwanowicz w skupieniu obserwował działania zwiadowców. Nagle głośny huk zagłuszył warkot silników Iwanowicz opuścił lornet-

kę i uniósł głowę. Helikopter amerykańskiej marynarki wojennej! Zbliżał się, jego załoga na pewno ich widziała!

Jeden z jego ludzi krzyknął coś do niego, po czym wskazał na horyzont. Iwanowicz spojrział we wskazanym kierunku. Z niedowierzaniem podniósł lornetkę do oczu.

Wielki krążownik zbliżał się w ich stronę.

Na jego rozkaz kilku uzbrojonych strażników zbiegło pod pokład. Po paru minutach wrócili na górę, prowadząc na muszce pojmanyh komandosów.

— Zabierzcie ich na dziób! Chcę, żeby ich było dobrze widać. Niech ci nowi wiedzą, o co toczy się gra.

Brutalnymi szturchańcami strażnicy zapędzili jeńców na dziób jachtu. Tam ustawili ich rzędem przy burcie, by załoga nadlatującego helikoptera widziała ich jak na dłoni.

Iwanowicz nie zamierzał jednak na tym poprzestać. Wydał kilka dalszych rozkazów. Załoga na przednim pokładzie odsłoniła duże, obracające się działko i wycelowała je w nadlatujący helikopter.

— Dajcie im ostrzeżenie, chłopcy!

Błysnęło, huknęło i obłok gęstego dymu wzbił się w powietrze. Helikopter błyskawicznie zawrócił w stronę okrętu.

— Ha! — zaśmiał się Iwanowicz. — Przekażcie tę wiadomość swoim szefom!



Na U. S. S. „Findley” kapitan i jego oficerowie obserwowali rozwój sytuacji z mostka. Oficer łącznościowy pozostawał w stałym kontakcie radiowym z załogą helikoptera.

— Panie kapitanie — zgłosił — trzy mają ludzi porucznika Adamsa jako zakładników. Samego porucznika nic widać. Helikopter został ostrzelany i musiał się wycofać.

— Są tam jeszcze jacyś Amerykanie?

— Nie, panie kapitanie, tylko ten sowiecki jacht i kilka małych motorówek należących do rebeliantów.

Kapitan zniknął w małym, mrocznym pomieszczeniu. Siedział tam już trzech innych ludzi, prawdopodobnie cywilów. Bardzo uważnie obserwowali wskazania skomplikowanych urządzeń elek-

tronicznych, które wypełniały pomieszczenie od podłogi aż po sufit.

— Proszę zamknąć drzwi — odezwał się jeden z nich.

Kapitan zamknął drzwi i powiedział cicho:

— Sytuacja w miejscu katastrofy się skomplikowała. Sowietci już tam są, filipińscy rebelianci także. Właśnie przeczesują teren. Trzymają naszych ludzi jako zakładników.

Trzej mężczyźni popatrzyli na siebie, rozważając znaczenie słów kapitana. Jeden z nich spytał:

— Widzi pan jakieś inne możliwości działania?

— Nasz helikopter został ostrzelany. Jeśli wkroczymy do akcji, może się to skończyć prawdziwą jatką. Poza tym nie można ryzykować życiem zakładników.

— Wie pan, jakie mamy rozkazy? — spytał inny.

— Oczywiście. Możecie przystąpić do ich wykonywania.

Właśnie wtedy zabłyśło czerwone światło. Trzej mężczyźni natychmiast skupili całą uwagę na monitorach i wskaźnikach tablicy rozdzielczej.

— Mamy kontakt radiowy z laserem.



Podczas gdy wysoko w górze motorówki cięły wody oceanu, a statki podpływały coraz bliżej, Lila leżała na skrzyni we wnętrzu zatopionej pokrywy pogrążona w głębokim śnie.

Nie obudziła się, gdy na tablicy rozdzielczej tajemniczej maszyny zabłyśły dwa bursztynowe światła. Ich jasny blask zmieszał się z czerwoną poświatą innych lampek.



Trzej mężczyźni przesuwali palcami po rzędach różnokolorowych przycisków. Nie odrywali oczu od monitorów.

— Pozytywny sygnał radiowy.

— Zasób energii dziewięćdziesiąt pięć procent. Starczy do uruchomienia.

— Uzbrojenie w pełni sprawne.

Jeden z nich dojrzał coś, co wydało mu się trochę dziwne.

— Hmm. Ktoś włączył monitory.

— Włączyły się pewnie same pod wpływem uderzenia — wytłumaczył inny.

— Na szczęście nie ma większych szkód. Wszystkie systemy są sprawne.

— W porządku — zdecydował jeden i nacisnął kilka guzików oznaczonych czerwonymi światełkami ostrzegawczymi. — Przygotować do detonacji!

— Ale się Rosjanie zdziwią!



Lila obudziła się nagle. Była półprzytomna. Przez chwilę wydawało jej się, że sen trwa nadal. Jednostajne, głośne brzęczenie i tykanie wypełniało wnętrze kontenera. Pomarańczowe, czerwone i zielone światełka migotały tajemniczo.

Lila przestraszona i zdziwiona, zeskoczyła ze skrzyni. Nie, nie śniła już. Tajemnicza maszyna ożyła! Światełka migotały w uporządkowanej kolejności. Potem, głęboko we wnętrzu maszyny, rozległo się głośne, niepokojące buczenie.

Ocaleni

Dwa czółna z wielką szybkością cięły morskie fale. Wioślarze dawali z siebie wszystko. Filigranowy poławiacz pereł wskazywał im drogę: cel leżał około pół mili² od wyspy.

Na dany przez porucznika Adamsa znak, Dave, doktor Cooper oraz Jay zaczęli przygotowywać się do zejścia pod wodę — przypięli butle, założyli maski, wsunęli płetwy. Adams przywiązał sobie do nadgarstka klucz od pokrywy, gotowy do użycia.

Doktor sprawdził swoją maskę i ustnik, po czym zwrócił się do pani Flaherty:

— Rebelianci nie mogą być daleko stąd. Będzie musiała pani zostać na powierzchni jako obserwator. Podał jej zwój grubej, nylonowej liny. — Wezmę drugi koniec sznura ze sobą. W razie nadchodzącego niebezpieczeństwa, proszę dać mi znać przez szarpnięcie liną, może parę szarpnięć, od jednego do pięciu.

— Jedno na „zbliżające się niebezpieczeństwo”, dwa „na bliskie niebezpieczeństwo”, a pięć na „gorzej już być nie może”?

— Mhm... coś w tym rodzaju. Módlmy się, by wszystko poszło dobrze.

Rebelianci przeczesali lagunę i powrócili masą skrzyń, kanistrów oraz innych interesujących przedmiotów. Jak dotąd nie udało im się odnaleźć pokrywy. Iwanowicz co chwilę spoglądał na potężną sylwetkę U. S. S. „Findley” mającą w oddali. Nie był zniecierpliwiony – był wściekły!

— Widzicie ten okręt? — krzyczał. — Nasi zakładnicy w końcu przestaną na nich robić wrażenie. Musimy znaleźć zatopiony kontener i uciec przed nadejściem Amerykanów. Poszerzcie obszar poszukiwań. 2 mila morska —jednostka długości na szlakach morskich równa 1852 m.

kiwań! Szukajcie dalej na południe, poza laguną! Może prąd poniósł część przedmiotów w tamtą stronę.

Rebelianci skierowali swą łódź z powrotem w stronę laguny. Za nimi, z głośnym warkotem, podążyły pontony.



Lila nie wiedziała, co robić. Nie miała też pojęcia, co zrobi ta dziwna maszyna. Buczała teraz i migotała do niej światełkami, a nawet poruszała głową. Czy ją widziała? Spojrzała robotowi w oko, lecz nie doczekała się żadnej reakcji.

Przyszło jej na myśl, że ktoś może sterować maszyną z zewnątrz. Pewnie, sterowanie radiowe! Jeszcze raz uważnie przyjrzała się tablicy rozdzielczej. Jakieś liczby ukazywały się na cyfrowych wyświetlaczach, jakieś światełka migotały, lecz wszystko to nic dla niej nie znaczyło. Czy to coś mogło przekazywać dźwięki?

— Halo? — zawołała. — Słyszysz mnie?

Nie było odpowiedzi. Buczenie i tykanie trwało dalej, bez zmian.



Koło krzyknął i wskazał w dół. To było to miejsce. Wioślarze zatrzymali czółna.

— Gotowi! — krzyknął Adams. Czterej mężczyźni założyli maski i przygotowali ustniki.

Adams dał znak, odchylił się do tyłu i wskoczył do wody. Za nim podążył Dave, a potem Jay.

Doktor Cooper poczuł na swoim ramieniu czyjaś dłoń.

— Niech Bóg będzie z tobą, Jake — powiedziała pani Flaherty.

Doktor patrzył na nią przez chwilę, uśmiechnął się i odparł:

— Dziękuję, Margaret. — Sposób, w jaki to powiedział, świadczył, że dziękuje jej za coś więcej niż tylko te krótkie słowa otuchy. Włożył końcówkę rurki od butli tlenowej do ust i zsunął się za burzę.

Koło wziął kilka głębokich wdechów, po czym wskoczył do wody. Silnymi ruchami ramion i nóg schodził coraz niżej w głąb oceanu.

Czterej płetwonurkowie ruszyli za nim, wzbijając chmurę białych bąbelków w cieplej błękitnej wodzie. Około trzydziestu metrów pod

sobą widzieli dno, zapierający dech w piersiach krajobraz pełen fantazyjnie powykręcanych koralowców i ławic błyszczących ryb.

Kolo poczuł, że dalej płynąć już nie ma siły. Zatrzymał się, odwrócił i pokazał im dalszą drogę. Z jego gestów wynikało, że kontener znajduje się tuż za załomem rafy. Pomachał im na pożegnanie i ruszył ku powierzchni.

Wszyscy czterej wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Dreńczyło ich to samo podejrzenie, czy aby Kolo nie próbuje ich oszukać. Teraz nie było już jednak innego wyjścia. Popłynęli dalej. Doktor Cooper ciągnął za sobą nylonową linę.

Pani Flaherty pozwoliła zwojowi swobodnie się rozwijać, mając tylko nadzieję, że długość liny jest wystarczająca.

Nagle jeden z tubylców krzyknął i wskazał na coś w oddali.

Rebelianci! Natychmiast rozpoznała tę ich rozklekotaną łódź. Było jasne, że szukają kontenera. Pani Flaherty położyła się na dnie czółna w nadziei, że nie zostanie zauważona. Mieszkańcy wyspy wiedzieli, jak należy się zachować; zaczęli udawać, że łowią ryby, mimo że nie mieli ze sobą sieci.

Rebelianci i tak byli podejrzliwi. Obecność dwóch łodzi w takim miejscu od razu wydała im się co najmniej dziwna. Natychmiast skierowali się w ich stronę.

Widząc zbliżające się niebezpieczeństwo, pani Flaherty szarpnęła za linę.



Trzej mężczyźni na pokładzie „Findleya” utrzymywali łączność radiową z laserem.

— Jakies zmiany? — zwrócił się jeden z nich do kapitana.

— Nie — odparł kapitan. — Trzymają nas na odległość. Nie wiemy, czy już znaleźli laser, czy nie...

Nagle z mostka kapitańskiego dobiegł krzyk.

— Kapitanie! Koncentrują się na obszarze na południe od jachtu. Wygląda na to, że coś znaleźli. Są tam też dwie łodzie tubylców. Pewnie miejscowi im pomagają.

Trzej mężczyźni dokładnie przyjrzeni się wskazaniom instrumentów.

— Proszę nas na bieżąco informować. Możemy to wysadzić w każdej chwili.



Lila była zrozpaczona. Musiał być przecież jakiś sposób, by nawiązać kontakt z tym, kto sterował maszyną.

Jeszcze raz przyjrzała się desce rozdzielczej. Próbowała sobie przypomnieć, co naciskała poprzednim razem. Och tak! Przycisk „Aktywacja” oraz dźwignia, która poruszał głową. Może uda jej się spowodować jakiś ruch maszyn; widoczny na monitorze nieznanego operatora.

Nacisnęła guzik z napisem „Aktywacja”.

Ogłuszający pisk! Jasny snop czerwonego światła! Lili odskoczyła, przestraszona! Oko robota nie było wcale okiem lecz potężnym laserem! Wnętrze kontenera wypełniło się czerwoną poświatą. Iskry rozpryskiwały się we wszystkich kierunkach, powietrze było ciężkie od dymu i pary.

Czerwony, błyszczący promień oślepił czterech pletwonurków. Pojawił się nagle, jak błyskawica na bezchmurnym niebie, i niczym rubinowa włócznia wystrzelił ku powierzchni opatulony długim, białym szalem morskiej wody w mgnieniu oka zamienionej w parę.

Woda wlewała się do środka! Laser wyciął dziurę w powłoce kontenera!

Lila doskoczyła do maszyny i jeszcze raz nacisnęła ten sam przycisk. Laser przestał działać.

Za późno! Woda wlewała się do środka przez wypaloną w suficie dziurę wielkości bochenka chleba. Silny strumień zalewał wnętrze stalowego kontenera.



Oficerowie na mostku „Findleya” nie dowierzali własnym oczom.

— Uuu! Widzieliście to?

Trzej mężczyźni w ciasnym pomieszczeniu z zaskoczeniem spoglądali na wskazania instrumentów.

— Laser wypalił!

Starali się odnaleźć przyczynę.

— Błąd w układzie aktywacji lasera — orzekł jeden.

— Potrafisz to naprawić? — spytał drugi.

Pierwszy przesunął palcem po rzędzie przycisków.

— Nie widzę tu żadnego błędu. Tak jakby laser otrzymywał polecenia od kogoś jeszcze poza nami.

— Niemożliwe! Lepiej przygotujcie się do detonacji.



— Panie, ratuj nas!

Pani Flaherty trzy razy szarpnęła za linę. Rebelianci byli już blisko. Wielki, biały jacht opłynął wyspę i zbliżał się z dużą szybkością.

Doktor Cooper poczuł szarpnięcia i sam szarpnął liną dla potwierdzenia. Nie mogło być jednak mowy o powrocie. W dole, za załomem rafy, leżał kontener. Wyglądał jak przekrzywiona na bok ogromna butelka. Ze świeżo wypalanej dziury wydobywały się bąbelki uciekającego powietrza. Adams podpłynął do spodu kontenera, by sprawdzić, co stało się z włazem.

Wypełniona po brzegi rebeliantami łódź podpłynęła w końcu tak blisko, że pani Flaherty została zauważona. Na widok Amerykanki rebelianci zaczęli wściekle krzyczeć i wymachiwać karabinami. Łódź zakreśliła koło, wzbijając przy tym falę tak dużą, że groziła ona wywróceniem czółen. Także pontony zbliżały się już na miejsce wraz z kolejną hordą wściekłych wrogów. Pani Flaherty szarpnęła pięć razy.

Bum! Coś wpadło do czółna. Granat!

Z głośnym okrzykiem ostrzeżenia pani Flaherty rzuciła się do wody. Miejscowi wiosłarze natychmiast podążyli w jej ślady.

Granat eksplodował! W powietrze wzniosł się wysoki słup wody i szczątków czółna. Siła wybuchu odebrała wiosłarzom przytomność.

Pani Flaherty czuła się jak znokautowana. Na przemian traciła i odzyskiwała świadomość, w głowie jej się kręciło i czuła ból w uszach. Próbowwała wypłynąć na powierzchnię, lecz nie potrafiła się nawet zorientować, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Wreszcie udało jej się wystawić głowę na powierzchnię i zaczerpnąć powietrza. Usłyszała strzały; kule trafiły w wodę zaledwie centymetry od niej. Zanurkowała. Widziała, jak wokół niej kule tną morską toń, wzbijając sznury bąbelków. Spojrzała w dół w poszukiwaniu płetwonurków, lecz nie dostrzegła żadnego z nich.

— Cała naprzód! — krzyknął Iwanowicz załodze jachtu. Wielki, biały dziób ciął błękitną wodę niczym ostrze noża. Dokładnie na wprost znajdowała się podwodna kryjówka kontenera.

Doktor Cooper i jego przyjaciele usłyszeli nad sobą głośny, rozciągnięty w czasie plusk. Podnieśli głowy i ujrzeli, jak kilkunastu płetwonurków wskakuje do wody. Kilku trzymało w rękach palniki do cięcia metalu. Wielu miało noże. Byli gotowi do walki.

Wielkie, silne ramiona chwyciły panią Flaherty od tyłu! Kopała i szamotała się, lecz nie przynosiło to nawet najmniejszego efektu. Ubrany w strój płetwonurka rebeliant ścigał ją w dół i wymachiwał jej przed oczami nożem. Podała się. Uniosła nawet ręce, by nie było co do tego wątpliwości. Weisnął jej swój ustnik między zęby. Wzięła kilka oddechów i oddała mu ustnik. Pokiwał głową z aprobatą dla jej mądrego zachowania.

Inny płetwonurek podał jej zapasową butlę. Zaczęła oddychać. Potem wzięli ją ze sobą jako jeńca w głąb morskiej otchłani.



Lila znajdowała się po pas w wodzie. Za parę minut kontener wypełni się wodą po sufit. Nie mając nic do stracenia, dziewczynka podjęła desperacką decyzję.

Chwyciła własnoręcznie wykonane „koło ratunkowe”, czyli torbę pełną styropianu i dokładnie zapięła paski butli. Mocno przycisnęła maskę do twarzy. Następnie wyszeptała kilka słów modlitwy i popłynęła ku tablicy rozdzielczej.

Wielki jacht znalazł się dokładnie ponad miejscem, w którym spoczywał kontener. Sternik zatrzymał silniki, podczas gdy Iwanowicz przyglądał się z dziobu statku, jak miejscowi wioślarze uciekają w ocalałym czółnie wśród gradu rebelianckich kul. Bardzo dobrze. Teraz zostali już tylko ci Amerykanie pod wodą, ale i nimi zajmą się wkrótce płetwonurkowie.



Adams i Dave, gotowi do walki, wyciągnęli noże. Nagle jednak doktor Cooper spostrzegł, że dwaj rebelianci ciągną ze sobą panią Flaherty. Jeden trzymał nóż przystawiony do jej gardła. Amerykanie zamarli w bezruchu. Ruchem ręki rebeliant z nożem kazał im odpłynąć od kontenera.



Lila położyła dłoń na dźwigni. Jeszcze raz nacisnęła przycisk „Aktywacja”.

Czerwony snop światła wystrzelił w górę niczym szkarłatna błyskawica!

Jasny promień lasera przeciął wodę niczym rozgrzany do czerwoności nóż. Płetwonurkowie z fascynacją i lękiem patrzyli na to niezwykle widowisko.



Korzystając z chwilowej nieuwagi porywaczy, pani Flaherty zerwała jednemu z nich maskę z twarzy. By odzyskać ów cenny przedmiot rebeliant musiał uwolnić kobietę z uścisku, a wtedy ona błyskawicznym ruchem rozpięła mu pas z obciążnikami. Biedny napastnik poszybował w górę, bezradnie machając rękami.

Drugi mężczyzna wciąż trzymał ją za ramię i groził nożem. Wprawdzie z trudem, ale zdołała go złapać za nadgarstek i sprytnie wykręcić rękę. Teraz ona przejęła inicjatywę.



Jasne światło raziło Lilę w oczy. Poruszyła dźwignią. Głowa robota zaczęła się obracać. Promień lasera ciął ścianę kontenera jak potężny palnik. Woda łała się mocnym strumieniem przez powiększającą się szparę.

W chwilę później już tylko głowa wystawała jej ponad wodę.



Rebelianci wycofali się. Część poszukała schronienia za rafą i skałami. Adams i Dave położyli się na dnie i obserwowali ruchy niszczycielskiego promienia.

Wtem dostrzegli, jak pani Flaherty szamocze się z jednym z rebeliantów. Dwie splecione, rozedrgane, pochłonięte walką sylwetki znajdowały się dokładnie na drodze lasera.



Iwanowicz usłyszał najpierw krzyki ludzi, a dopiero później ujrzał promień. Nagle, tuż za lewą burtą, szkarłatna lanca światła wystrzeliła z wody i rosła, rosła wysoko w górę, aż do samego nieba. Kilka chmur rozplynęło się bez śladu pod dotykiem straszliwego ostrza.



Lila starała się utrzymać głowę na powierzchni. Ani na chwilę nie przestała poruszać dźwignią. Prowadzony jej ręką laser ciął powłokę kontenera wzdłuż jej długości.



Trzej mężczyźni na pokładzie „Findleya” wiedzieli, co się stało.

- Laser wystrzelił! Przerwać jego działanie!
- Nie mogę! Nie reaguje na komendy radiowe!
- Błąd w systemie sterowania ręcznego.
- Detonować!

Jeden z mężczyzn włączył jakiś guzik i przekręcił kluczyk. — Procedura samozniszczenia rozpoczęła! Detonacja za sześćdziesiąt sekund.



Doktor Cooper w ostatnim momencie zdołał dopłynąć do pani Flaherty i zepchnąć zarówno ją jak i napastnika z drogi zabójcze-

go promienia. Tuż obok zabulgotała woda. Mężczyzna uwolnił się z uchwytu pani Flaherty, lecz teraz miał przed sobą doktora Coopera. Doktor nie zwykł przegrywać.



Ludzie Iwanowicza wznieśli straszliwy rwetes. Po chwili i on zrozumiał ze zgrozą, że promień lasera przesuwają się dokładnie w kierunku jego jachtu! Ile sił w płucach krzyknął do sternika, by dał całą wstecz i wielki jacht zaczął się powoli cofać.



Z niespodziewaniem wielką siłą doktor Cooper wykręcił napastnikowi rękę. Nóż spadł na morskie dno. Mężczyzna cofnął się i machając dłonią prosił o łaskę. Miał już dosyć. Doktor Cooper pozwolił mu odpłynąć, sam zaś zajął się panią Flaherty. Na szczęście nic jej się nie stało. W geście wdzięczności chwyciła go za rękę.



Woda przykryła Lilę po czubek głowy. Woda nagrzewała się gwałtownie. Jeszcze moment i dziewczynce groziło ugotowanie. Wycięcie było prawie gotowe.



Niczym gigantyczna brzytwa, promień lasera przeciął najpierw dach, oba pokłady i dno jachtu. Wybuchł pożar. Kłęby dymu wydostawały się z wnętrza statku. Dwie połówki jachtu odłączyły się od siebie i zapadły do środka, niczym pęknięta skorupka jajka. Ogarnięta paniką załoga skakała do wody.

Strażnicy pilnujący ludzi porucznika Adamsa nagle zapomnieli o swoich obowiązkach. Komandosi wykorzystali to natychmiast. Szybko powalili swoich strażników na ziemię i odebrali im broń. Rebelianci nie mieli jednak ochoty do walki i gdy tylko Amerykanie pozwolili im wstać, przerażeni rzucili się za burtę.

Iwanowicz walczył o życie. Kurczowo chwycił się burty na dziobie statku i próbował utrzymać się na przechylonym pokładzie tonącego jachtu. Trzej komandosi pospieszyli mu z „pomocą” biorąc go jako jeńca.



Lilą poczuła straszliwy wstrząs i usłyszała głośny, metaliczny zgrzyt. Poprzez zasłonę z bąbelków powietrza ujrzała nad sobą niebieskawe światło.

Chciała wziąć głęboki oddech, lecz w płucach poczuła tylko pustkę! Tlen się skończył!



— Detonacja za trzydzieści sekund — informował kapitana jeden z operatorów na pokładzie „Findleya”.



Dave i Adams zmagali się z czterema filipińskimi rebeliantami. Adams rozbroił jednego z nich i posłał go na powierzchnię. Zły Dave zdołał zderzyć ze sobą dwóch następnych i uspokoić ich w ten sposób na jakiś czas.

Wtedy właśnie usłyszeli głośny, metaliczny dźwięk i ujrzeni, jak precyzyjnie odcięta górna część kontenera osuwa się na bok w chmurze bąbelków. Promień lasera zniknął, a oczom zaskoczonych pletwonurków ukazała się mała postać — drobna istota o złocistych włosach, która odrzuciwszy na bok zużytą butlę, zaczęła gwałtownie machać rękami i nogami, by jak najszybciej znaleźć się na powierzchni.

Okrzyk radości chciał wyrwać się z piersi Jaya. Chłopiec natychmiast ruszył w stronę siostry, a doktor Cooper i pani Flaherty podążyli tuż za nim.

Adams uznał, że akcja skończona. Dał znak Dave'owi i obaj popłynęli ku powierzchni, zostawiając pokrywę rebeliantom.

Zadowoleni z siebie buntownicy obiegli pokrywę niczym muchy plaster miodu.

Lila słabła; jej ruchy stawały się coraz wolniejsze. Jay podpłynął do siostry, złapał ją za ramię i podał jej swój ustnik od butli tlenowej. Zaczęła oddychać. Była półprzytomna, nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

Doktor Cooper zbliżył się do obojga dzieci. Dzielił się z Jayem tlenem ze swej butli, gdy szybko płynęli do góry.



Komandosi zeszli z pokładu tonącego jachtu do szalupy. Wiosłowali z dużą wprawą i siłą, toteż w porę oddalili się od tonącego statku. Dwie połowy wielkiego kadłuba zniknęły w morskich falach.



Doktor Cooper, Jay oraz pani Flaherty ostrożnie zbliżali się z Lila do powierzchni. Ledwie jednak zdążyli wynurzyć głowy, a już kilka silnych ramion pochwyciło ich z góry i zaczęło ciągnąć. Chcieli walczyć, ale to był na szczęście Jerry Garrison.

— Szybko, włąćcie do czółna, zanim to wszystko wybuchnie!

Wokół aż roiło się od tubylców. Porucznik Adams i Dave siedzieli już bezpiecznie w łódce. Wyspiarze wciągnęły doktora Coopera do jednego czółna, a panią Flaherty do drugiego. Jay i Lila znaleźli się w jeszcze innym.

Nagle z oceanu wyrosła wielka góra spienionej wody! Potężna fala przewaliła się ponad czółnami. Wioślarze z trudem uratowali łódzie przed wywróceniem. Ocean huczał i grzmiał. Odłamki skał i rafy koralowej, błoto i ryby, wszystko to wypłynęło gwałtownie na powierzchnię wraz ze spienionym słupem wody. Silne fale wściekle waliły o brzeg wyspy.

— Oto jak skończyli poszukiwacze lasera — powiedział porucznik Adams.



— Kapitanie! Z helikoptera donoszą, że nasi ludzie są bezpieczni! Zauważyli też Adamsa w łodzi tubylców razem z jakimiś cywilami!

— Dobra. Chodźmy ich stamtąd zabrać.



Ocean wreszcie się uspokoił. Teraz z kolei nastąpiło poruszenie na niebie: helikopter z „Findleya” wrócił na miejsce dramatycznych wydarzeń. Załamani, pokonani rebelianci — a raczej ich resztki — uciekli na swej łodzi wraz z ludźmi w pontonach. Miejscowi wojownicy z plemienia Sutolo pomogli porucznikowi Adamsowi i jego ludziom zebrać filipińskich niedobitków z zatopionego jachtu.

Adams podprowadził swe czółno do łódki, w której była Lila. Leżała zwinięta z bólu, w półprzytomnym otępieniu.

— Doktorze, dziewczynka ma bóle stawów z powodu zbyt szybkiej dekompresji³. Musimy zabrać ją na pokład „Findleya”.

Adams stanął w łódce i zaczął wymachiwać rękami. Z helikoptera opuszczono specjalne nosze, w które delikatnie włożono Lilę. Doktor Cooper pocałował ją w czoło, a potem pozwolił, by helikopter zabrał ją ze sobą wysoko w górę.

— To cud, że znaleźliśmy ją żywą! — powiedział doktor, do którego dopiero teraz dotarło, że to rzeczywiście prawda.

— Nawet pan nie wie, jak wielki cud! — odparł Adams. — Widziałem butlę, którą miała. Oddychała z niej przez pięć dni, podczas gdy normalnie taka butla starcza na dziesięć minut!

Obserwowali, jak załoga helikoptera ostrożnie wciąga bezwładną Lilę na pokład, by odlecieć z nią w stronę amerykańskiego krążownika U. S. S. „Findley”.

Adams pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Bóg nad panem czuwa, doktorze Cooper. Myślę, że z pańską córką wszystko będzie dobrze.

3 dekompresja — zmniejszenie ciśnienia działającego na nurka przy jego wychodzeniu z zanurzenia

Znaczący podarunek

Wielki samolot pasażerski wzbił się w powietrze z rykiem potężnych silników. Międzynarodowy Port Lotniczy w Tokio tętnił życiem. Ludzie roili się niczym pszczoły w ulu, tłum mieszał się, pędził we wszystkich kierunkach, falował. W pewnej chwili przez megafony podano komunikat następującej treści:

— United Airlines, lot nr 203, bezpośredni do Seattle-Tacoma, kończy odprawę pasażerów. Wszystkie osoby posiadające bilety na ten lot powinny znajdować się już na pokładzie. Dziękuję.

Komunikat został powtórzony w języku japońskim, lecz już jego wersja angielska wystarczyła, by trójka ludzi zerwała się na równe nogi i biegiem pognąła do odprawy.

Był to oczywiście Doktor Cooper, z walizką w jednej ręce i gazetą w drugiej, oraz jego dzieci: Jay, jak zwykle w dobrej formie, oraz Lila, znów taka jak dawniej, radosna i uśmiechnięta.

— Co się stało z naszym poprzednim lotem? — spytał w biegu Jay.

— Odwołali go w ostatniej chwili — odparł doktor. — Z trudem udało mi się załatwić jakieś miejsca w tym samolocie. Jeśli nie zdążymy, to trzeba będzie czekać aż do drugiej rano.

— Dalej, dalej! — pośpieszała Lila.



W głównej hali lotniska, atrakcyjna, dobrze ubrana kobieta rozglądała się we wszystkie strony, nie mogąc odnaleźć w tłumie pewnej znajomej twarzy. Przemierzyła wszerek i wzdłuż całą salę, aż w koń-

cu podeszła do monitora informacyjnego, na którym sprawdziła rozkład lotów United Airlines.

— O Boże, pomóż mi! — krzyknęła i zaczęła przepychać się przez tłum ludzi w stronę stanowiska, z którego już za chwilę, za moment miał odlecieć pewien samolot.

Gdy dotarła na miejsce, poczekalnia była pusta. Stewardesa obsługi naziemnej zamykała właśnie furtkę pomostu prowadzącego na pokład.

— Przepraszam... czy pasażerowie są już na pokładzie?

— Ma pani bilet, proszę pani?

— Och, nie... nie...

— Jak mogę pani pomóc?

— To był... hmm... dziękuję pani, już nic. — Wycofała się. — Ja tylko... ja tylko chciałam się z kimś pożegnać.

— Och, tak mi przykro, chyba się pani spóźniła. Stewardesa zajęła się swoimi sprawami.

Pani Flaherty podeszła do wielkiego okna i przyglądała się, jak wielki boeing oddala się od terminalu. Nie mogła oderwać wzroku od potężnego kadłuba samolotu. Wydawało jej się nawet, że w jednym z okienek widzi znajomą twarz. Była jednak zbyt daleko, by z całą pewnością stwierdzić, że była to twarz tego właśnie mężczyzny.

— Ach, Jake, Jake — powiedziała cicho. — Już cię tu nie ma, a tak wiele chciałam ci powiedzieć...



Na pokładzie boeinga stewardesa pokazywała pasażerom, jak zapiąć pasy, gdzie znajdują się wyjścia awaryjne oraz jak używać butli z tlenem.

Lila nachyliła się do ojca i wyszeptała to, co już tak wiele razy zdążyła powtórzyć w ciągu ostatnich paru dni:

— Kocham cię, tato. Czule uściskał jej dłoń.

— Ja też ciebie kocham. Bardzo.

— Przepraszam cię za wszystko. Zaśmiał się cicho.

— Ja ciebie też. Chyba już wszystko zdążyliśmy sobie wyjaśnić.

— Jest mi z tym dużo lepiej.

— Mnie też — odparł z uśmiechem doktor. — Chyba zgodzisz się, że oboje trochę się ostatnio zmieniliśmy.

Jay wtrącił w zamyśleniu:

— Szkoda, że nie udało nam się zjeść lunchu z panią Flaherty. Mam nadzieję, że nie poczuła się urażona.

— A, synu, myślę, że udało mi się to wyjaśnić, ku jej zadowoleniu. Jay i Lila zauważyli dziwny, figlarny uśmiech na ustach ojca.



— Pani Flaherty? — rozległ się głos za jej plecami. Odwróciła się. Był to pułkownik Griffith.

— Och, dzień dobry, William.

— Pierwszy lot został odwołany — powiedział z żalem Griffith.

— Właśnie zdążyłam się o tym dowiedzieć.

— Udało ci się w ogóle z nimi spotkać? Próbowwała się uśmiechnąć, lecz trudno jej było ukryć rozczarowanie.

— Nie. Nie było na to czasu. Nie było też czasu na umówiony lunch.

— Tak mi przykro. Chyba wiele razem przeżyliście. Byłoby miło pożegnać się jak należy.

— Ach... zdaje się, że świat jest zbyt duży i zbyt dużo się na nim dzieje. Dlatego Jake jest w ciągłym ruchu.

— Słuchaj... — Pułkownik Griffith podał jej mały pakunek.

— Kiedy Jake zorientował się, że nie zdążycie się spotkać, dał mi to, żebym ci przekazał.

Wzięła zawiniątko; nie wiedziała, co powiedzieć.

— Śmiało, otwórz to.

Zdjęła kolorowe opakowanie z małego, drewnianego pudełka.



Jay nigdy przedtem nie widział takiego uśmiechu na twarzy swego ojca, toteż ciekawość zawładnęła nim bez reszty.

— Hej, tato, o czym myślisz?

— Och... tak sobie myślę.

Jay postanowił rozwinąć nieco temat.

— Bardzo polubiłem panią Flaherty. A ty co o niej sądzisz?

— Niezwykła kobieta... całkiem wyjątkowa kobieta... myślę, że wasza mama bardzo by ją lubiła. Zresztą pod wieloma względami przypomina waszą mamę; ma twardy charakter i silną wolę. Zawsze podziwiałem to u Katherine.

Lila była wstrząśnięta słowami ojca. Musiała się kontrolować, by nie wlepić w niego zdziwionych oczu.



Pani Flaherty otworzyła wieczko pudełka. Pułkownik Griffith zobaczył, co jest w środku.

— Co do...?

Pani Flaherty wybuchnęła głośnym śmiechem, po czym wyjęła z pudełka małe plastikowe jajko.

— Jajko-zabawka? — zapytał Griffith.

— Och, można by rzec, że kryje się za tym pewna historia.

Rozkręciła obie połówki jajka i otworzyła je. Z uśmiechem szczęścia na twarzy wyjęła ze środka małe papierowe serce.

Pułkownik Griffith śmiał się razem z nią, w końcu jednak przyznał:

— Nic z tego nie rozumiem.

Pani Flaherty pochłonięta była jednak lekturą kartki, która razem z jajkiem znajdowała się w pudełku:

„Do Pani Margaret Flaherty:

Niecierpliwy czas znów postąpił z nami wedle własnej woli. Mam jednak nadzieję, że ten mały podarunek wszystko wytłumaczy. Na razie przychodzi nam się rozstać. Nie opuszcza mnie jednak wiara, że ścieżki naszego życia już niedługo spotkają się gdzieś w szerokim świecie za sprawą łaskawej i wszechmogącej ręki Boga. Z niecierpliwością czekam na tę chwilę. Pamiętający, Jake R. Cooper.”

Huk startującego samolotu zatrzęsł szybami w hali. Pani Flaherty spojrzała w górę. Boeing 747 wznosił się ku niebu w drodze do odległego domu.

Uśmiechnęła się i pomachała dłonią.

— Dziękuję ci, Jake 'u Cooperze. Teraz wszystko jest już jasne.

Postanowiła wyjaśnić zajście zdeorientowanemu pułkownikowi.

— Jake to inteligentny człowiek, Williamie. Wie, co i jak powiedzieć, by rozumiała go tylko ta osoba, do której skierowane są słowa. Widzisz? Jego serce było kiedyś zamknięte w skorupie. Potem jednak ja ją otworzyłam, o tak. Teraz jego serce jest wolne i...

Griffith uśmiechnął się i zgadł.

— I Jake dał je tobie?

Nieświadomie przycisnęła paczuszkę do serca.

— William... czy mam prawo tak myśleć?



Samolot osiągnął właściwą wysokość i wyrównał lot. Wszyscy odpięli pasy i wygodniej usadowili się w fotelach.

Lila tak długo milczała, że w końcu doktor spytał:

— Wszystko w porządku?

Spojrzała na niego strapiona, jakby bała się to powiedzieć:

— Nigdy przedtem nie rozmawiałeś z nami o mamie. Delikatnie dotknął jej policzka i długo na nią patrzył.

Potem, z jakimś nowym błyskiem w oku, odparł:

— No to porozmawiajmy.

I rozmawiali, wszyscy troje, przez długie godziny. Daleko pod nimi połyskiwały wody Pacyfiku. Wracali do domu.